

Logotyp 	Nazwa instytucji Muzeum Ustrońskie	
Tytuł jednostki / publikacji / fotografii Pamiętniki Pawła Wantuły		
Ilość stron oryginału 65	Ilość skanów 65	Liczba plików publikacji 133
Autor Wantuła Paweł	Wydawnictwo / zakład fotograficzny	Skan okładki
Miejsce wydania Cieszyn	Rok wydania / Data powstania 1967 r.	
Sygnatura ---	Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) maszynopis	
Wymiary (wys x szer) 29,7 x 21 cm	Stan zachowania ---	Charakterystyka skanowanego obiektu Unikatowe opracowanie, prezentujące pamiętniki Pawła Wantuły (ur. w 1890 r.), młodszego brata Jana Wantuły. Rękopis w formie zeszytu, podobnie jak w przypadku Pamiętników Jana Wantuły, oddany został do zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie. Kopie w postaci maszynopisu utworzył w 1970 r. Andrzej Wantuła.
Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce) Ustroń, Śląsk Cieszyński, przełom XIX i XX w., Jan Wantuła, Paweł Wantuła, Jan Głajcar, Jerzy Janik, Jerzy Michejda, Paweł Matuła, Andrzej Hławiczka		
Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuznia, letnicy itp.) Ustroń, życie codzienne chałupników na Śląsku Cieszyńskim na przełomie XIX i XX w., losy ustrońskiej rodziny Wantułów na tle doli i niedoli cieszyńskiego ludu, stosunki na Śląsku Cieszyńskim w czasach austriackich, codzienność szkolnej dziatwy na przełomie XIX i XX w		
Prawa autorskie ---		

Met
AM
71(2)manec

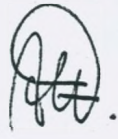
Paweł Wantuła

Pamiętnik

Dar dla Biblioteki Synodalnej
Kościoła Ewang.-Augsb. w PRL
z księgozbioru
Jana i Andrzeja Wantułów
z Ustronia



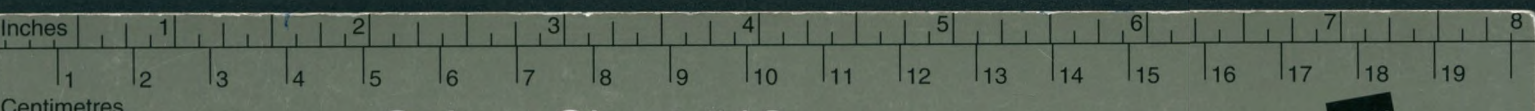
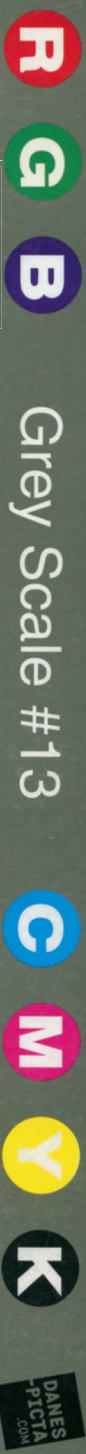
Rkps 3

Biblioteka Synodalnej Ew. A. Kościoła
parochialnej
Ustronia - 1870 r. 

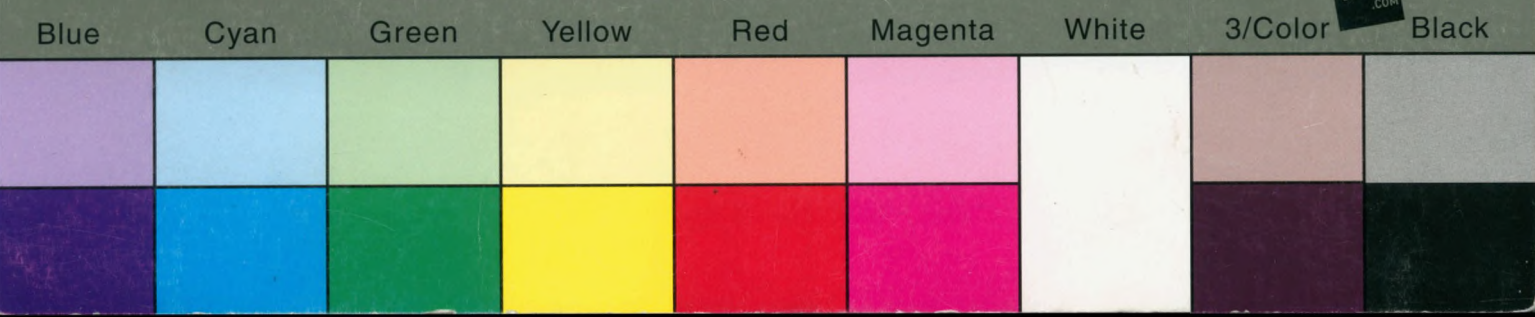
Cieszyn, ul. Przepilińskiego 49.

Indeks nazwisk patrz. ostatnia kartka!

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13



Słowo wprowadzające

W związku z przepisywaniem pamiętników Jana Wantuły z Ustronia i sporządzaniem maszynopisu, pojawiło się u mnie pragnienie wyjaśnienia i uzupełnienia pewnych szczegółów dotyczących okresu jego młodości i środowiska, w którym wyrastał. Mógł ich udzielić pozostający przy życiu brat Jana, Paweł Wantuła, zamieszkały w Cieszynie. Zwróciłem się tedy do niego z propozycją spisania wspomnień z lat młodości i przedstawienia życia w rodzinie Wantułów "na Gojach" w Ustroniu. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. W zadziwiająco krótkim czasie otrzymałem "pamiętnik", który zawierał więcej aniżeli prosiłem, bo historię własnego życia i jego rodziny aż do 1968 r.

"Pamiętnik" - tak zatytułował swoją pracę autor - spisany został w zeszycie szkolnego formatu zawierającym 160 stron. Jest on pisany "na wprost", bez notatek, jak to autor wyraźnie zaznacza, bez opracowanego planu. Autor nie miał ambicji literackich. Pisał co mu podsunęła pamięć i co mu się skojarzyło w czasie pisania. Rezultat jest oczywisty: pamiętnik jest chaotyczny, różne wątki gubią się po drodze i czynią miejscami jakby się nasunęły w trakcie pisania. Autorowi nasuwała się taka obfitość wspomnień, że nie potrafił ich uporządkować i pozwalał się wodzić nowym, przypadkowo skojarzonym tematami.

Spisane w rekordowym tempie wspomnienia zawierają pomimo ich chaotyczności sporo cennego materiału. Dotyczy to zwłaszcza tych ustępów "Pamiętnika", w których autor przedstawił rodzinne, domowe życie drobnego, przeciętnego "chałupnika" na Śląsku Cieszyńskim pod koniec ubiegłego i na początku bieżącego wieku. Zawiera on też pewne nowe, nieznane szczegóły biograficzne odnoszące się do Jana Wantuły, które uzupełniają jego "Pamiętniki". Są one ponadto ciekawe i z tego powodu, iż przedstawiają stosunki, jakie istniały na Śląsku Cieszyńskim za czasów austriackich, a wreszcie fragmenty z doli i niedoli

1.VIII.1914. - Z wybuchem pierwszej wojny światowej pojawiły się na terenie Cieszyna samochody sztabu generalnego /ochotniczy korpus automobilowy - Freiwilliges Automobilkorps/, wyłącznie szlachta austriacka niemieckiej narodowości. Od listopada 1914 do końca 1916 w Cieszynie gościło Dowództwo Armii /Oberkommando der Uster. - ungar. Armees/. Była to grupa łączności przy sztabie generalnym. Po śmierci cesarza Franciszka Józefa w grudniu 1916 następcą tronu Karl-Franz-Josef-Karol został cesarzem Austro-Węgier, przeprowadził się do Baden-Baden koło Wiednia z całym sztabem w lutym 1917. Cieszyn opustoszał nagle, zamek zaś się opróżnił - przeznaczono przeznaczona na szpital polowy. W roku 1915 /marzec/ Rosjanie zdobyli silną twierdzę Przemyśl, następnie miał paść Kraków, lecz silna ofensywa 2 maja 1915 przy współudziale armii niemieckiej Rzeszy, marszałka Mackenzena odrzuciła nawalnicę, walec rosyjski poza Lwów, Luck, Równo itd., runął również cały front karpacki. Teren cieszyński przeżywał różne historyczne chwile w kataklizmie dziejowym, groźnych działań wojennych w ubiegłych stuleciach.

Tysiąc sto pięćdziesiąt lat od legendarnego założenia miasta Cieszyna r. 810 - to kawał historii, wzlotów i upadków, zwycięstw i porażek... W pamiętniku szczupłym nie sposób ująć nawet fragmentarycznie ważniejszych wydarzeń dziejowych, historycznych. Za wątle siły na zamiary!

Wykorzystuję jeszcze jedną umyślnie opuszczoną stronicę, aby się cofnąć wstecz do roku 1905. W święto św. Szczepana, dnia 26.XII.1905 pojechałem mając piętnaście lat i 3 miesiące po raz pierwszy w życiu koleją z Cieszyna do Ustronia i z powrotem tego samego dnia. W Ustroniu na Gojach po raz pierwszy poznałem w dniu 26.XI.1905 urodzonego bratanek Andrzeja, drugiego z rzędu urodzonego syna brata Jana i bratowej Anny z Szczepańskich. Od roku 1908 posiadałem własny rower, toteż często odwiedzałem tam rodzinę-bratów. Tak było i w czasie wojny światowej, jaka rozpetala się 1.VIII.1914 a skończyła 28.X.1918. Do czasu wcielenia mnie do wojska jeździłem nadal często do Ustronia. Bratanek Andrzej liczył sobie w kwietniu 1915 - 9 1/2 lat. Szkoły w czasie wojny były

okresowo zamknięte. W końcowych dniach marca, w niedzielę 1915 zabrakłem na rower Andrzejka do Cieszyna - po raz pierwszy w Cieszynie. Przebywał u nas na Małej Łące przez dwa-3 tygodnie. Była cudna i ciepła wiosna. W niedzielę wielkanocną wczesnym rankiem powędrowaliśmy przy słonecznej pogodzie piechotą do Ustronia, tj. ja, żona i Andrzejek; wskutek wojny ruch pociągów był ograniczony do Ustronia, na dobę dwie pary pociągów. Brat Jan poszedł w poniedziałek wielkanocny piechotą do pracy, do Trzyńca, my zaś wieczorem piechotą z żoną do Cieszyna. Dopiero w 1917- jesień Andrzejek zapisany do gimnazjum przebywał osiem lat w Cieszynie w bursie.

W dalszym ciągu moich wyurzeń osobistych cofnę się myślami wstecz o jakie 72 lata, do mojego wczesnego dzieciństwa. W życiorysie zaznaczyłbym, że urodziłem się jako szóste dziecko /razem z pierwszą żoną 8 dzieci - 6 synów, 2 córki, z drugiego małżeństwa 1 syn i 2 córki - siostry pasierbice/ dnia 7 marca 1890.

W pamięci mej utkwił pamiętny dzień 11 sierpnia 1895, piękny, upalny dzień sierpniowy. Matka w ów dzień powiła ósme z kolei dziecko - syna, któremu na chrzcie nadano imię Adam. Akuszerka nazwiskiem Machoń, dosyć potężna o dobrej tuszy, w piękny śląski strój ubrana wiejska kobieta, położna, rozwiedziona, poleciała mi, ponieważ nie miała nikogo do pomocy, udanie się do ciotki - bratowej mojego ojca, sąsiadującej z polem moich rodziców, mieszkającej o dokładnie 300 kroków od domu naszych rodziców na Gojach. Polecenie babki położnej brzmiało: Idź, synku, do ciotki Zuzki, żeby zaraz przyszia nakarmić piersią nowo narodzonego braciszka. Ciotka Zuzanna Wantulowa miała dwumiesięcznego synka /kuzyna/, więc mogła taką prośbę wykonać. Pamiętam jak by to było dziś, widzę żniwiarzy kosiarzy, krzątających się na polach sąsiednich koszeniem resztek owsa, wiązaniem w snopy itd. Tak w towarzystwie ciotki wróciłem do domu.

Dom nasz rodzinny, chata obszerna składająca się z dwóch większych izb i dwu mniejszych z drzewa ociosanego toporem ciesielskim. Szpary

po między kłodami - okraglakami ociosanymi - były suchym mchem wypełnione jako uszczelnienie. Dom mieszkalny był połączony w jedną całość ze stodołą i dobudówką na sprzęt gospodarski jak brony, taczki, traczące, stolicę do ciesielstwa, grabie, motyki, kopaczki itd. , następnie na drzewo opałowe, węgiel i różne rupiecie i graty. Jako dalsza zabudowa gospodarcza był obszerny chlew murowany z budulcu-kamienia oraz pomieszczenie-śpichrz, wszystko grube mury, co najmniej 80 cm grube, typowo sklepione. W tym pomieszczeniu mieściły się beczki napełnione jesienią kapustą dla ludzi i bydła, osobno. W porze letniej przechowywano w śpichrzu duże garnki, zwane czepniki, ponieważ ponad poziomem dna znajdował się otwór zatykany drewnianym czopem /korkiem/ do opuszczania mleka chudego, śmietana bowiem pozostawała na wierzchu. Mleko opuszczane było kilka godzin po udoju i zwało się mlekiem spuszczanym. Centryfug w tym okresie nie znano na wsi. Śmietaną uzyskaną przechowywano w "ponclókach" - naczyniach 10-15 litrów, nakrywanych ściereką płócienną, celem ochrony przed muchami i komarami. Zależnie od ilości śmietany, przerabiano śmietaną w drewnianej maśniczce, kadzi wysokiej, szczelnie zamkniętej, zaopatrzonej w tłok, który przez ruch masy śmietany separował grudki tłuszczowe w masło. Maślankę przececzano przez sito odpowiednie. Masło uzyskane formowano po 0,25 kg w drewnianych foremkach, względnie w ręcznych trójkątnych osełkach, po gruntownym wypłukaniu w wodzie zimnej, możliwie źródlanej - produkt gotowy, świeży, deserowy. Masło, ser jako nabiał sprzedawano, jak również i jajka na targu tygodniowym na rynku w Ustroniu w poniedziałki. W związku z utrzymywaniem licznej naszej rodziny - liczącej 10 osób - sprzedawano mleko, masło, jajka, drób, częściowo owoce. Rodzinka odżywiała się bardzo skromnie. Chleb razowy, żytni, piekarni domowego, mleko zsiadłe, maślanka, ziemniaki, żarnówka z razówki gotowanej w wodzie, w niedzielę i święta w mleku, lekko okraszona masłem były przysmakami na śniadanie. Kiedy na przednówku zabrakło ziarna, co powtarzało się rok rocznie na małym gospodarstwie, kupowano

w "konsumie" fabrycznym ryż - grysik, by nasycić gromadkę dzieci. W jesieni było nieco lepiej. Na uchowku był baranek, czasem na kiermasz gąska, jakiś wiosenny prosiak, toteż stół niedzielny był obficie nakryty, bo w tygodniu, czyli na co dzień jadło się prażonki, to jest potrawa ludowa z pszennej razówki zmielonej na żarnach ręcznie. Następnie fasolka, bób, groch i kasza pogańska /gryczana/, okraszone słoniną wędzoną, z zsiadłym mlekiem. Mięso jedliśmy raz w tygodniu, w niedzielę, jeden kg na liczną rodzinę. W porze zimowej po uboju tuczniaka podano nam i wędzone mięso, rosół z ziemniakami. Po obfitym urodzaju jabłek, gruszek i śliwek, które suszono w specjalnie zbudowanej suszarni, gotowano pieczki, czyli tak zwaną "bryję" /Apfelbrei, Zwetschgenbrei/ itd. Domek rodzinny otoczony był z wszech stron sadem - ogrodem. Poza ogrodzeniem, obok potoku płynącego przez teren nizinny, była posadzona grupa drzew - śliw, rosnących węgierki, wysokich, bodajże że z 50 drzew skład sadu śliwkowego. Jesienią, w wrześniu, kiedy powiał silny wiatr od strony Gzantorii, dojrzałe śliwy swą błękitną powłoką owoców pokryły zieloną powierzchnię trawniku, modry kolor śliw nakrył niczym dywan przestrzeń pomiędzy drzewami. Zbieraliśmy dojrzałe owoce do wielkich koszy z wikliny wierzbowej, zwoziliśmy do stodoły i zsyпали na gumno, aby następnie z dojrzałych śliw gotować w kotle powidła, resztę suszono w dzień i w nocy w dobrze urządzonej suszarni, gdzie palono wyłącznie drzewem bukowym. Praca suszenia była mozolna, wymagająca wielkiej wprawy i czujności - sortowania wysuszonych owoców. Kosztem snu dokonywano tych prac co najmniej w cyklu 14-dniowym. Potok bliski suszarni szumił z lekka, zaś pełnia księżycy w noc pogodną, złotą tarczą nadawała uroku przy wonnym odorze oparów suszonych owoców poprzez szpary drzwiczek i otworów wentylacyjnych prymitywnej suszarni, pomimo że na ówczesne czasy była pomysłowo zbudowana, ponieważ dym z paleniska był przez komin z rur blaszanych odprowadzany na zewnątrz. Wiejskie suszarnie u innych gospodarzy nie posiadały urządzenia od-dymiającego, susz nasiąknął dymem, co w rezultacie miało przykry smak.

Pamiętam owe chłodne wieczory wrześnie, skuloną postać koło ogniska pod paleniskiem suszarni przy nikłym oświetleniu latarni ze świecą - czasem lampy naftowej, która często gasła przy podmuchu miatru, lub też kiedy deszcz rosił, a poddasze nie było dosyć szczelne, bo prymitywne sklecone z desek różnego kształtu, "cylindry" pękały, światło zgasło i w ciemności szarej nocy należało dokładać "szajty", czyli kłody drewnne i posuwać pod palenisko, żeby nie zgasło. Czasem gwiazdzista noc, rosnący krągły księżyc uprzyjemniał pobyt przy suszarni w ciszy nocnej. A sen nużył po całodziennym wysiłku przy pracy poźniwej jesiennej, praca na roli była bardzo mozolna, tłuste skiby ślinowatej gleby trzeba było przed zasianiem zboża oziminy ręcznie motyką rozdrobnić, czasem przy pomocy zaprzęgu krów do bron pracę tę ułatwić. Praca na roli jest ciężka i żmudna szczególnie w porze letniej, od środy do środy mówią ludzie, tj. od świtu aż do zmierzchu, od wschodu do zachodu słońca - w tym okresie czas odpoczynku i snu wynosił oprócz niedzieli i świąt nie więcej jak pięć godzin. Dzisiaj chyba w jakiejś bardzo zacofanej wsi - grajdołku, stosowany jest podobny system pracy w gospodarstwie wiejskim. Nasz domek rodzinny wraz z zabudowaniami położony był i jest w odmiennym stanie budowy z materiałów trwałych - cegły i betonu, dachy zamiast gontami świerkowymi pokryto ogniotrwałą dachówką względnie eternitem czy blachą pocynkowaną, na płaskim terenie o lekkim spadzie w kierunku wschodnim. Położenie obejścia idealnie romantyczne, prawie z wszech stron otoczone sadem, zaś jako ochrona drzew owocowych, umocnienie brzegu potoku od strony północno-zachodniej chłodnych wiatrów, drzewami liściastymi, jak olchy, jasionie, jawory, akacje, topole, nawet stuletni wiąz o karłowatych kształtach uzupełniał drzewostan wału ochronnego. Wierzby jako mało wartościowy materiał drewna wycięto w pień, chociaż pomiędzy średniego wzrostu wierzb na krańcu łąki - pastwiska znajdowały się w latach 1900 - 1920 dwie wierzby olbrzymie, chociaż wewnątrz wydrażone, spróchniałe. Przekrój tych drzew wynosił na pewno 750-900 mm. Padły ofiarą toporu i piły.

Z dziupli tych wierzb wyrastała jarzębina, zasiana na pewno przez ptaki na niej się gnieźdzące. Ogrodzenie ogrodu - sadu składało się z płotu sztachetowego, częściowo z żywopłotu - obecnie płot mało trwały zastąpiono siatką drucianą, chroniący młody drzewostan sadu przed gryzoniami w porze zimowej, w czasie zasp śnieżnych, zajęcami, które potrafią ogryźć pnie drzewek aż po korony, podczas zawieji śnieżnej śnieg sięga prawie do wysokości ogrodzenia.

Najpotężniejszym drzewem, o wielkich rozmiarach co do objętości konarów, wysokości i przekroju była i królowała nad całym sadem, domem, stara 7 wieki licząca lipa, sadzona bodajże w latach historycznych przemarszu wojsk króla Sobieskiego przez Śląsk Cieszyński. Potężna budowa osłaniała dom przed wichrami i rażącymi promieniami ze strony południa w upalne dni lata. Na jednym ze zwisających konarów w porze letniej umocowano "dzichtę", płachtę z tkaniny jutowej, najczęściej z rozprutego worka, na czterech rogach przszyto odpowiednio długie taśmy parciane. Taka "dzichta" zastępowała kołyskę, w dzień pogodny na świeżym powietrzu dziecko - niemowlę kołysane do snu czuło się widocznie bardzo dobrze, ponieważ szybko zasypiało, szczególnie w miesiącu lipcu, kiedy lipa obwiśnięta złotym pachnącym, niczym nektar boski, kwiatem lipowym. Niezwliczone roje pszczół i innych pasożytów miodowych jak: os, ćmieli, ba nawet i szerszeni oblegały lipę olbrzymą, brzękiem skrzydełek tworzyły niesamowitą symfonię dźwięków sprzyjających snu dziecka... Wysoka nadmiernie lipa w czasie rozpetanej, nieraz groźnej burzy, stanowiła dobry przewód dla wyładowań atmosferycznych, czasem gromyśnych piorunów. W czasie rozpetanej takiej burzy mieszkańcy chaty drżeli przed potęgą straszliwego żywiołu. Po takich burzach zaobserwowaliśmy złamane, potężne konary, rozczepioną korę od wierzchołka aż do pnia przyziemnego. Blizny zadane przez piorun na konarach i pniu z czasem zarosły, pioruny miały do wyboru wysokie olchy, po których się ześlizgiwały. Na lipie bardzo wysoko umieszczone były "kadłubki"- skrzynki przeznaczone na gniazda dla ptaków; wyłącznie

przez drenaż. W pogodny wieczór rzechot żab i ropuch było długo do nocy słyhać: "rady-rady" - a ropuchy w przerwach wtórowały "spuch-spuch". Dziś można na jakimś odległym stawie zasitowionym spotkać stado żab. Do tego miesza się świst świerszczyków. Rzadziej spotyka się śpiew słowika, który w ciszy nocnej delikatnie treluje.

W słońcu nad potoczkiem przepływającym przez łąkę, jako drugi potok znajdujący się na terenie gospodarstwa odziedziczonego od dawnych przodków, którzy przesiedlili się z okolic Pszczyny na Śląsk Cieszyński /zgodnie z zapiskami ś.p.mojego brata Jana/ przywędrowali nasi przodkowie jeszcze w latach coś około 1700 r. W Ustroniu czynna była założona huta żelazna z wytopem rudy, kuźnią, papiernią itd. Przywędrowali za chlebem, za zarobkiem i osiedlili się pod Czantorią, karczując tam istniejące lasy na przełomie stulecia koło 1700 roku. Nad tym potoczkiem, przepływającym przez łąkę, pląsały w słońcu barwne motyle. W powietrzu unosił się brzek - dźwięk różnych owadów, wieczorem całe zastępy komarów unosiły się nad powierzchnią - w takiej masie mogą być dokuczliwe. O gryzoniach polnych, myszach i kretach, które raczej pod ziemią buszują, jedno szkodliwe, drugie pożyteczne. Czasem spotyka się łasycę lub jeża.

Kilka kroków od starej lipy była studnia głęboka cembrowana kamieniami rzecznyymi, podobno około 20 m głęboka, rury wydrążone w środku z okrągłaka, składane szczelnie, żeby pompą zdołano wodę na wierzch wyciągnąć. Z powodu zanieczyszczenia studni oraz wadliwych, zużytych rur drewnianych, zaniechano pobierania wody ze studni. Wodę czarpano z bliskiego potoku, jakieś 50 metrów od domu oddalonego. Zimą porą było noszenie wielkich ilości wody z potoku uciążliwe. Wodę noszono w naczyniach, w "patniach" o jednym uchwycie, wiader cynkowych na wsi wówczas nie używano. W gospodarstwie była trzoda chlewna, trzy krowy, baran oraz kilka prosiaków z maciorą. Bydełko wymagało dużą ilość wody. Do prania bielizny licznej rodziny potrzebna była woda. "Płoso" - wydrążone dno potoku, obłożone kamieniami,

gnieździły się szpaki w ich "domkach". Po wylęgu w miesiącu czerwcu - lipcu latały całymi stadami, oblegały wszystkie w pobliżu drzewa czereśni. Dojrzałe owoce smakowały wybornie ptakom. Właściciele drzew usiłowali się bronić przed niepożądanym nalotem natrętów, wisząc w konarach drzew kukły - stare ubrania napychano słomą lub sianem, ale przemądrałe ptactwo niebardzo respektowało one martwe straszdyło. Obecnie raczej kosy zastępują szpaki w sadach. Kosy nie gardzą żadnym owocem, lubią dojrzałe grusze, jabłka wczesne, papierówki, oczywiście słodkie jak miód śliwy - rengloty. Kosy zimują często koło domostw, karmione przez ludzi w okresie mrozów i zawieji śnieżnych. W naszym sadzie rojno było od ptactwa. Wyłuskiwały dzieciły korę drzew, by ze smakiem jeść robaczki znajdujące się pod korą różnych drzew. W słoneczny wiosenny i letni dzień od wczesnego ranka zanosily dźwięczne trele, wysoko tkwiąc w powietrzu skowronki, od czasu do czasu w pewnym okresie zakuka kukułka, a niezliczona liczba różnolitego ptactwa pieniem swych głosów uprzyjemnia ludziom życie w polu, sadzie, w przyrodzie. Ot i znów piosenka przypomina się:

Jadą, jadą dzieci drogą,
Siostrzyczka i brat,
I na-dziwić się nie mogą,
Jaki piękny świat...

Po wschodzie słońca lśnią w jego promieniach miliony kropelek rosy, obsute przezroczytymi brylancikami są kłosa zbóż, falujących się przy lekkim powiewie wiatru. A krople lśnią na trawie, łąkach łącznych kwiatów, polnych róż; któżby potrafił opisać te cudy w przyrodzie, nad rzeką, potokiem, łące czy lesie. Wieczorem, kiedy załśni na nieboskłonie złota tarcza księżycy w pełni, wyrasta z poza czubka góry Równicy, tam jest geograficzny wschód - Wielka i Mała Czantoria od południowej strony - dom na Gojach stoi frontem do Czantorii. Dawniej - za mojej młodości były moczary po odkrywkowej kopalni rudy. Rudę kopano na polach naszych przodków, do dziś są widoczne kręte zagłębienia po wykopaliskach pod Wyrchowiną. Dziś odwodniono moczary

tworzyło mały basen naturalny do czerpania wody. W czasie mrozów w przerębli lodowej, która co dzień zamarzała, trzeba było na nowo siekierą otwór w lodzie wyrąbywać. Szczególnie w czasie zasp śnieżnych zejście do samego potoku było nieco strome, czasem oblodziałe, w dzień śnieg zaczął topnieć, pod wieczór powierzchnia zamarzała - był to trud niemały dla pętaka od 10 - 14 lat. Matka nasza płukała w potoku w lecie czy zimie wypraną bieliznę, klęcząc na ławeczce tuż koło przerębli. Latem pojono bydło w potoku. Potok, odgraniczający pole nasze od sąsiada, długość wynosiła przy głównym potoku górskim co najmniej dwieście metrów, drugiego zaś potoczka na łące ponad sto metrów. W sąsiedztwie nieczynnej studni stał potężny, rosochaty orzech włoski o nadzwyczajnej twardej lupinie. Drzewo bardzo wysokie o olbrzymich konarach, przekrój pnia podajże 50 - 60 cm. Zasłaniał niższe drzewa, toteż w latach 1903 - 1905 padł pod ciosem topora i piły. Było to okazałe drzewo, lecz nie rentowne, za małe plony w niskim gatunku. Kiedy piszę o starej lipie, przypomina mi się sentymentalna piosenka znanego, słynnego kompozytora Franciszka Schuberta "Der Lindenbaum", który do własnych słów, jak opiewa śpiewnik w Wiedniu wydany skomponował odpowiednio rzewną melodię. A oto oryginalny tekst:

1 zwrotka: Am Brunnen vor dem Tore,
 Da steht ein Lindenbaum;
 Ich träum't in seinem Schatten
 So manchen süßen Traum.
 Ich schnitt in seine Rinde
 So manches liebe Wort;
 Es zog in Freud und Leide
 Zu ihm mich immer fort.

2 zwrotka: Ich muss't auch heute wandern
 Vorbei in tiefer Nacht,
 Da hab ich noch im Dunkeln
 Die Augen zugemacht;
 Und seine Zweige rauschten,
 Als riefen sie mir zu:
 "Komm her zu mir, Geselle,
 Hier find,st du deine Ruh.

Pierwszy rok szkolny.

Dnia 1 maja 1896 w dżdżysty pierwszomajowy dzień zaprowadziła mnie moja matka do zapisu do Szkoły Ludowej, bo tak brzmiała nazwa szkoły podstawowej, z niemiecka "Volksschule". Zapisu do klasy pierwszej dokonał sam gospodarz tejże klasy, nauczyciel Cienciała. Po krótkiej ceremonii siedziałem pierwszy raz w ławce szkolnej, matka mnie pożegnała. W obcym mi zupełnie otoczeniu się znajdując, rozplakałem się, po chwili nauczyciel zwolnił nas do domu.

Odległość z domu do szkoły wynosiła 2 km drogą polną, więc 20 minut na przebycie tej odległości. W porze zimowej, w zaspach śnieżnych, droga uciążliwa wymaga na przebycie okragło jedną godzinę lub więcej.

W pierwszej klasie pisano wyłącznie na tabliczce kamiennej - szyfrowej, oprawnej w ramę drewnianą, rysikiem kamiennym. Tabliczka była z jednej strony liniowana, zaś z drugiej kropkowana. Tabliczka była bardzo łamliwa, przy upadku na podłogę łatwo się rozbiła. Ołówkiem pisano w kajetach, czyli małych brulionach w drugim roku szkolnym, to jest w klasie drugiej, gdzie później rozpoczęło się pisanie atramentem. Żacy mieli palce atramentem zbrudzone, zaś zeszyty poplamione. Do nauki rachunków służyły kostki do liczenia składane i dowolnie układane, zależnie od czynności matematycznych. Liczydeł gałkowych wówczas nie używano, natomiast sporo było kostek do układania. W naszym domu rodzicielskim wychowywano dzieci w wieku przedszkolnym, idąc do szkoły umiałem liczyć do dziesięciu; do celów naukowych rachunkowych używano ziarna bobu lub fasoli. W domu poznaliśmy litery zarazem łacińskie jak gotyckie, książki kościelne, postyło, Dąbrowka, kancyonały, biblię, czeski kancyonał, jaki dawniej obowiązywał, ks.Trzanowskiego, był drukowany szwabachą, czyli gotykiem. Kancyonał czeski, gruby, oprawny w skórę, okuty klamrami mosiężnymi do zamykania okładek twardej. W domu rodzicielskim śpiewano prawie co dzień, przynajmniej

cieszyńskiego ludu. Z tych powodów wydało mi się rzeczą wskazaną zachować ów Pamiętnik, przepisać go i udostępnić miłośnikom cieszyńskiej przeszłości. W tekście nie poczyniono żadnych stylistycznych zmian, nawet tam, gdzie zachodziła oczywista potrzeba. Wydaje się, że autor sam nie przeczytał swego dzieła, gdyż nie dokonał w nim żadnych poprawek.

~~Ponieważ autor zapomniał podać datę swego urodzenia, podaję ją tutaj.]~~ Urodził się on dnia 7 marca 1890 r. w Ustroniu.

Oryginał "Pamiętnika" przekazuję do Biblioteki Narodowej w Warszawie, która już posiada oryginały pamiętników Jana Wantuły. Maszynopis sporządzono w sześciu egzemplarzach: ^{Ponadto jest} 1/ autor Paweł Wantuła w Cieszynie, 2/ Biblioteka Narodowa w Warszawie, 3/ Biblioteka Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, 4/ Biblioteka przy Muzeum Miejskim w Cieszynie, 5/ Biblioteka Synodalna Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Warszawie, ul. Miodowa 21, 6/ rodzina Jana Wantuły w Ustroniu.

Warszawa, w czerwcu 1970r.



/Andrzej Wantuła/

w porze zimowej, pieśni religijne, zmagano na głos modlitwy w pozycji klęczącej. Czytanie i pisanie opanowaliśmy nie najgorzej, ponieważ czytaliśmy w niedzielę obowiązkowo kazanie z postyli, śpiewali z kantonałów. Za ojcem lub matką śpiewaliśmy z czeska:

"Rani vstavijice, Pana Boha kwałę, že nas vopudroval , tej dnesnej tej noce" itd.

Metoda nauki w szkole nie uznaje za wskazane uczenie dzieci w wieku przedszkolnym, czytania, pisania itd. przez samych rodziców. Nam to, zdaje mi się, nie szkodziło, że zapoznaliśmy się z zasadniczymi kryteriami wiedzy czytania i pisania. W latach coś 1954 - 1956 była uchwała Ministerstwa Oświaty i rozpoczęto eksperymentalnie naukę wstępną w przedszkolach, ale zdaje mi się, że ten numer nie przeszedł, bo go zaniechano, a wiek zapisu dziecka do szkoły podstawowej ustanowiono na siedem lat. Za czasów zaborczych austriackich obowiązywał ośmioletni termin uczęszczania do szkoły ludowej, obecnie zwanej podstawową. Szkoła w Ustroniu była szkołą wyznaniowo ewangelicką, utrakwistyczną, to jest, że obowiązywał od drugiej klasy język niemiecki jako wykładowy. Jedynie nauka religii była w polskim języku, reszta przedmiotów tylko w niemieckim; była to nauka żmudna i trudna, nauczyciele, chociaż nie wszyscy, objaśniali w języku polskim niezrozumiałe dla dziecka słowa niemieckie, na przykład w historii, fizyce, zoologii itp. Najgorliwszym pedagogiem wprowadzającym język niemiecki był młody wychowanek niemieckiego seminarium nauczycielskiego /Lehrerbildungsanstalt/ Jan Glajcar, świeżo upieczony Herr Lehrer, renegat. Kierownik szkoły ś.p. Jerzy Nichejda, wielki patriota polski, uczył nas historii polskiej w godzinach pozaszkolnych. Ustrój państwowy austriacki był bardzo liberalny, tolerancyjny. Na Śląsku obowiązywał oprócz niemieckiego i język polski we wszystkich urzędach. W sądzie byli sędziowie Polacy, w innych urzędach również. Dziennik Urzędowy Starostwa, przeznaczony dla wójtów i ludności redagowany był przy Starostwie w Cieszynie po niemiecku i zarazem po polsku na tej samej stronie rozdzielonej

kreską pionową w druku. W kościele ewangelickim w Cieszynie ranne nabożeństwa po niemiecku odprawiał co niedzielę ks. dr Wrzecionko, władający jako Cieszyniak doskonale polskim językiem, jak niegdyś superintendent ks. dr Theodor Haase, świetny kaznodzieja, Niemiec, ale kazął po polsku, zmarł w 1906 r., położył zasługi przy założeniu szpitala ewangelickiego, obecnie Śląskiego. W parku szpitalnym znajdował się pomnik z popiersiem ks. dr Haasego, został usunięty, znajduje się w Muzeum Cieszyńskim, jak również pomnik słynnego kompozytora, wiedeńskiego Franciszka Schuberta oraz pomnik cesarza Józefa II - cesarza, który wydał patent tolerancyjny za jego rządów. Określono go jako cesarza wolnościowego "Freiheitskaiser". W Ustroniu jedynie w Wielki Piątek było w kościele ewangelickim nabożeństwo w języku niemieckim dla garstki urzędników Niemców, ewangelików z Kuźni Ustrońskiej, dawniej Fabryka Maszyn.

Otóż nauczyciele patrioci, jak Michejda, Matula, Wałachowie, Hojdzysz, często przetrzymywali swoich uczniów, oczywiście na samo życzenie uczniów, ale wyłącznie tylko w porze zimowej, bo w lecie uczniowie - większość z nich miała obowiązki domowe przy paszeniu bydła i przy robotach polnych-rolnych. Szkoła w Ustroniu nie posiadała oświetlenia w klasach, ani na korytarzu. W porze zimowej zmierzch zapada wcześnie, toteż nauczyciele siłą rzeczy opowiadali po ciemku już z pamięci różnego rodzaju temata - z dziedziny zoologii, historii polskiej lub opowiadania bajek Andersena, bracia Grimm itd. Nie lubiany przez uczniów renegacik Johann Glajcar - w latach 1907 - 1910 - 12 zatrudniony w Goleszowie w szkole, stosował, forsował naukę w szkole ustrońskiej przy pomocy kija - trzciny, bijąc opornych uczniów gdzie się tylko dało, po dłoni, po palcach, po tułowiu itd. Pewnego razu uderzył dłonią w policzek chłopca, który doznał uszkodzenia słuchu, - rodzice pociągali krewkiego wychowawcę młodzieży rzekomo niesfornej do odpowiedzialności, który zasądził na rzecz poszkodowanego rekompensatę za uszczerbek na zdrowiu. Władze szkolne przeniosły Glajcara dyscyplinarnie do Goleszowa, gdzie zdaje mi się aż do czasu wybuchu pierwszej wojny światowej pracował, nie wiem czy

zginął na wojnie, w każdym razie do polskiego Goleszowa już nie powrócił po wojnie. Jako dwunastoletni uczeń miałem zajęcia w szkole z nauczycielem Glajcarem. Mianowicie: Ś.p. brat mój Jan sprowadził pocztą z Warszawy kilkanaście śpiewników z nutami lub też bez nut, tylko teksty pieśni narodowych, patriotycznych. Ponieważ poznałem kilka melodii przy pomocy akordeonu - brat był muzykiem - amateorem i umiałem kilka bojowych piosenek na pamięć. Na przykład: Gdy naród do boju wystąpił ^z orężem ... Oto dziś dzień krwi i chwały - Warszawianka; pieśń sokołów: Ospały i gnuśny, Stańmy bracia wraz, Choć burza huczy wokoło nas, Nie dbam jaka spadnie kara i kilka innych piosenek. Wydanie śpiewnika kosztowało grosze, toteż sprzedawałem kilkanaście takich śpiewniczków, a w przerwach czy na placu kościelnym - szkolnym lub nawet w klasie, gdzie nas szpiegując, nakrył, zgłosił kierownikowi Michejdzie, który mnie wezwał do kancelarii szkolnej i delikatnie zabronił kolportażu tych broszurek na terenie szkoły. Noty z fizyki, matematyki, jakie przedmioty w klasie V nauczyciel Glajcar wykładał, zostały wskutek tego starcia - konfliktu niesprawiedliwie, niezasłużenie - jako kara osobista Glajcara - obniżone.

Nauki religii w szkolne wyznaniowej ewangelickiej udzielali starsi nauczyciele Michejda i Matula. Przygotowanie konfirmantów przeprowadzał sam proboszcza, ks. Jerzy Janik. W 1904 roku był już w wieku sędziwym, a w roku 1906 zmarł na posterunku jako siedemdziesięcioletni starzec. Ks. Jerzy Janik korzystał z ogrodu - własność kościoła ewang.augsb. w Ustroniu - obszar 1 ha - o równych bokach, kątach 100 x 100 m. Ogród założył znany pomolog przed 150 laty, pastor zboru ustrońskiego, ks. Karol Kotschy. Kiedy zaistniała wg obecnego terminarza "kleska urodzajów owoców" występował nadmiar podaży jabłek, grusz i śliw. Ksiądz ś.p. Jerzy Janik przed świętami godowymi zlecił przyniesienie kilku dużych koszy dorodnych jabłek i grusz zimowych przez kościelnych Baszyka i Szkubnię do szkoły, gdzie osobiście rozdzielał wszystkim dzieciom szkolnym, nawet i tym, których rodzice posiadali własne sady, tylko nie w takim gatunku mieli owoce, jakie w ogrodzie farnym były wypielęgnowane. Podarunek

wigilijny był pięknym gestem ze strony ks. proboszcza. Hektarowy ongiś wartościowy sad już nie istnieje, część przeznaczono na poszerzenie drogi, chodników, część - resztę rozparcelowano pod domy mieszkalne dla pracowników kuźni. Obszar hektarowy sadu księżowskiego obejmował liczbę co najmniej 350 drzew owocowych, co dało kilkanaście ton owoców rocznie. Uczniowie szkoły mieli praktyczne wyobrażenie obszaru 10.000 m², sad był ogrodzony i w możliwie dobrym stanie utrzymywany.

O powstaniu przemysłu w Ustroniu napisał rozprawę źródłową brat ś.p. Jan Wantuła w broszurce pod tytułem "Karty z dziejów ludu Śląska Cieszyńskiego" - patrz str. 167 "Ustroń na Śląsku Cieszyńskim. Rozwój stosunków gospodarczo-społecznych w latach 1772 - 1951", oraz str.201 "Huty żelaza w Ustroniu".

Pragne uzupełnić, że pod Czantorią znajduje się wydajne źródło wody mineralnej, eksploatowane przez Spółdzielnię w Ustroniu, jaka z dodatkiem gazu stanowi dobrą chodliwą wodę mineralną stołową. Studzienka nosiła nazwę "Hungerbrunnen", czyli pobudzająca woda studziennie-źródłana. Następnie na Zawodziu jest obok drogi na Równicę źródło o smacznej wodzie żelazistej - jak rdza, ujęte w rurociąg. Tabliczka na cokole ujęcia wodnego opiewała: "Eisenquelle". Obok źródła płynie bystrym nurtem potok "Gościradowiec", o czystej krystalicznie wodzie, który o jakieś metrów wpada do rzeki Wisły tuż obok mostu.

Miasto Ustroń posiada dobrze zagospodarowanie skwery- kwietniki, zieleńce, nowoczesnie urządzonej basen kąpielowy. Na Czantorię zainstalowany elektryczny wyciąg krzesełkowy. Na Równicę prowadzi droga na szczyt, można wyjechać motocyklem lub samochodem. Ustroń jest z trzech stron otoczony górami, lasami, od wschodu, południa i zachodu. Od północy rozprzestrzenia się równina zwana "Równia". Wstęga królowej rzek polskich "Wisła" przecina dolinę pomiędzy stokami Czantorii Wielkiej i Równicy.

Filię Kuźni - Huty w Ustroniu buduje się w Skoczowie - odległość 10 km od Ustronia. Przed stu laty budowano w Ustroniu mosty o konstrukcji

nitowanej. W czasie wojny w roku 1917 byłem jako żołnierz na Bałkanach - Bośni Hercegowinie, w mieście Bosnij Brod na rzece Sawie łączącej mostem żelaznym Sławonię z Bośnią mostem o długości prawie jednego kilometra - rzeka Sawa jest w tym miejscu najszersza. Widok gigantycznego mostu z napisem coś ponad 900 metrów długości i lana żeliwna tablica "Brückenbuna", tabl. Ustroń Öster. Schlesien. Tam daleko na południu napotkałem na obiekcie budowę konstrukcji żelaznej, wykonanej rękami bliskich mi ziomków czy nawet i krewnych... Ustrońscy monterzy jako bardzo fachowcy słynęli z dobrej, rzetelnej pracy. Pługi parowe przemierzały wielkie połacie węgierskiej, żyznej ziemi, mosty na Dunaju, Sawie i wiele innych rzek łączyły przeciwległe brzegi, miasta i kraje byłej austro-węgierskiej monarchii.

Powracając jeszcze do wspomnień szkolnych, bardzo ulubionym nauczycielem był ś.p. Andrzej Hławiczka, który od 1906 - 07 roku przeniósł się do Cieszyna po ukończeniu studiów muzycznych w konserwatorium w Wiedniu, po czym objął posadę profesora muzyki przy Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Cieszynie. Zarazem pełnił funkcję organisty przy zborze ewang. cieszyńskim. W szkole ustrońskiej nauczał i religii, śpiewu kościelnego przy akompaniamencie skrzypiec, czasem w kościele organów. Nie raz posługiwał się w szkole fisharmonią, instrumencie, który był własnością kierownika Michejdy. Nauczyciel Hławiczka posiadał przy szkole ewang. ogródek, w którym hodował porzeczki, agrest, kilka drzewek karłowatych owocowych i oczywiście z ulubieniem hodował piękne róże. Za dziczki róży dostarczone mu przez uczniów z pobliskich lasów płacił stawkami /pióra do atramentu/. Chętnych uczniów uczył szczepienia, oczekowania drzewek owocowych, róż-oczywiście tę naukę prowadził po godzinach szkolnych. Pojętniejsi uczniowie eksperymentowali w ogrodach - sadach własnych rodziców, uszlachetniając dziczki wyhodowane z jąder. Posiadając A.H. własne 2-3 ule, objaśniał w pierwszym zarysie hodowlę rojów pszczelnych - nie wiele było tych wiadomości - ale zawsze coś.

W ustrońskiej szkole zaprowadzony był zwyczaj zmagania modlitwy

przed nauką i po nauce - rąnkami pieśń kościelna: "Kiedy ranne wstają zorze", zaś na koniec nauki: "Nuż Bogu dziękujmy", albo: "Ach zostań z Twoją miłością". Taki poważny nastrój udzielał się uczniom po lekcjach szkolnych. Rzadko kiedy zdarzały się wybryki w drodze ze szkoły do domu, najwyżej obrzucanie się śniegiem, obficie spadającym, albo ślizganie na powierzchni lodowej sadzawek, ewentualnie pobliskiego stawu, który rzadziej zamarzał.

W takiej milej atmosferze płynął czas, lata młodości, w szkole. Dzieci chałupników latem do później jesieni pasaly bydło rogate i tylko od godziny 12 do 15 mogły być obecne na nauce szkolnej. Władze szkolne tolerowały ten stan rzeczy. Stracone przez uczniów godziny lekcyjne nie mogły być nigdy nadrobione - od miesiąca maja do wakacji, które wówczas rozpoczynały się pod koniec lipca, a trwały do 15 września. Bydełko wypasano co najmniej do pierwszych przymrózków, jakie nastąpiły w połowie miesiąca listopada, rzadziej po Wszystkich Świętych - 1 listopada.

U nas w rodzinie był obowiązek paszenia krów co najmniej do siódmego roku życia, następnie bracia się zmieniali - brat Jan, najstarszy wiekiem, ur. w 1877, następnie Józef ur. 1879, Andrzej 1881, siostra Anna 1884, brat Paweł 1887 zmarł, następnie imiennik Paweł 1890 i siostra Zuzanna 1892, brat Adam 1895 - reszta pasierbów po 1899 do 1901. Matka nasza zmarła w młodym wieku w 37 roku życia w r. 1898, ojciec 21.II.1901 - 46 lat. Zrzędzeniem losu byłem pokrzywdzony, bo już w szóstym roku życia obowiązkowo rozpocząłem paszenie bydła, przeważnie na powrozie - postronku, dwie krowy, czasem trzy lub jałówkę, barana częściowo na uwięzi, żeby nie wyrządzał szkody w płonach obok miedzy, na których wypasano bydło, jesienią, po żniwach rozpuszczono bydło po ścierniskach, łąkach. Od roku 1896 do 1905 pasłem krowy bez przerwy, siostra moja o sześć lat starsza /Anna 1884 ur./ była uprzywilejowana, a mianowicie z różnych względów. W gospodarstwie była starsza krowa czarna z łysiną na czole, nieprzyjaźnie nastawiona do członków rodziny pięci żeńskiej, bodła, była złośliwa, przymusowo nosiła na rogach zasłone z deski.

"Lysina", bo tak się zwała złoźnica, zrzucała często zasłonę prymitywnie umocowaną na czole i oczywiście pobodła i potratowała siostrę - praktycznie nie było sposobu poskromienia złoźnicy. Sam, małego wzrostu, słaby pastuch, zaprzyjaźniłem się z czarnulą i miałem spokój, zasłonę zdjęto z głowy i pasłem ją przez kilka lat aż do czasu sprzedania jej na ubój wskutek podeszłego wieku krowiego. Od roku piątego życia pasłem gąski, wczesną wiosną prosiaki na pierwszej zielonej murawie. Krowy wyprowadzano na pastwisko coś około 5 do 10 maja, zależnie od tego, czy było dosyć paszy zielonej na miedzach, łąki bowiem były przeznaczone na siano, względnie popas - karmienie podczas udoju. Pasąc krowy na powrózku, czytałem jakieś broszury, książki wypożyczone ze szkolnej biblioteki lub też biblioteczeki ś.p. brata Jana, który założył sobie już w latach 1897 w polskim i niemieckim języku, były tam i kalendarze ewangeliczne, gotykiem drukowane. Przy pomocy słownika polsko-niemieckiego i niemiecko-polskiego Klusa w wieku 12 lat będąc /czytałem/ Odysseję Homera, częściowo w prozie a resztę wierszem - dziś po wielu latach co najmniej 66 lat emocjonuje się pięknem Illiady, Odyssei. Czytałem nawet ciężko strawnego, dla ucha czytelnika polskiego utwory niemieckich powieściopisarzy Ganghofera w dialekcie bawarskim, zaś Rossegera Petra w narzeczu tyrolsko-styryjskim, więc piąte przez dziesiąte rozumiałem sens treści tych powieści ludowych. Czytając jakąś powieść tatrzańską Orkana, przypadkowo pracujący kartografowie z wyższych uczelni niemieckich, widząc pastucha czytającego jakąś książkę, obejrżeli ją i oświadczyli między sobą: "das ist der polnische Rosseger, der die Geschichte der Tatabewohner zum Thema ^{a)} auserwählt hat". Czytanie książek podczas zajęcia paszenia bydła było utrudnione, krowy kąsane przez różnego rodzaju insekty - muchy - ślepce - komary itd. śmigły ogonami, czasem gziły się podniecone - gzić w języku potocznym oznacza raczej jakiś "amok", bydełko ruszyło cwałem w stronę stajni, obalając słabego pastucha na murawę - pastwisko, mianowicie wtedy, kiedy za późno zareagował na nagły zryw - jakiś psychoza bydlęca instynktownie jak na jakiś tajemniczy znak zrywa się do

skoku i galopu. Po jakiejś chwili uspokajają się. Promienie słoneczne są również przeszkodą przy czytaniu - czarny druk ogląda się jak bystro czerwony. Książkę w czasie przerwy w czytaniu nosiło się za pazuchą - pod koszulą. Książki należało szanować, chronić przed zniszczeniem, a były to czasem nowe książki z biblioteki szkolnej, a z biblioteki brata Jana część książek była broszurowana, nie oprawna; musiałem się mieć na baczności, bo skarbiec z książkami mógłby zostać zamknięty, a głód dociekań książkowych wzmagał się z czasem. Ten, nazwałbym go "popęd" do czytania trwał i trwa, choć może w mniejszej skali wskutek słabszego wzroku, braku czasu, ponieważ chociaż jestem rencistą, pracuję nadal na pół etatu, czyli 105 godzin - praca społeczna, partyjna, związkowa, zaś jako wdowiec od 1959 roku, tj. przeszło osiem lat, wszelkie roboty domowe jak gotowanie, sprzątanie, pranie bielizny, praca koło domu, w ogrodzie zabiera bardzo wiele czasu.

Tradycją było, że synowie hutników, górników podejmowali ten zawód po ojcach w hucie, kopalni czy kolei żelaznej. W naszej rodzinie najstarszy brat Jan, młodszy o dwa lata zgodnie z tradycją i potrzebą chleba poszli do huty. Jan wyuczył się rzemiosła ślusarskiego, Józef pracował przy automatach, w "szubkarni" frezował różnych rozmiarów śruby i "mutry" - nakrętki. Ojciec nasz był, jak z wypowiedzi jego przełożonych wynikało, wysoko kwalifikowanym tokarzem /Misendreher/, zarabiał jak na owe czasy do 75 guldenów miesięcznie - to było w cyfrach 50 dolarów /porównalność w towarze: rasowa krowa kosztowała 50 guldenów, za guldena kupiono 2 litry spirytusu lub 3 kg cukru, lub 7 kg mąki pszennej, albo 2 kg masła, mleka pełnego 15 litrów, albo ostatecznie porównanie: kopę jaj świeżych - jedna para męskiego obuwia skórzanego - kamaszki - 3 guldeny/.

Trzeci z kolei brat Andrzej był raczej wzrostu niskiego i wątpliwej kondycji fizycznej, rodzice po uzgodnieniu oddali chłopca do nauki - wybitnego mistrza szewskiego Krumholca, Niemca sudeckiego, z dobrze prosperującym warsztatem. Mając dwadzieścia lat, jako czeladnik szewski przesiedlił się na stałe do Orłowej - Zagłębia Ostrawskiego, węglowego,

gdzie pracował u solidnego mistrza Karola Mówalda od roku 1901, po śmierci naszego ojca /21.II.1901/. W roku 1907 - 08 stęskniony za miejscem rodzinnym Ustroniem powrócił, zamieszkał u brata Jana, w izdebce ulubionej, pracę podjął w cementowni w Goleszowie oddalonego od Ustronia sześć kilometrów, jako pomocnik palacza w kotłowni. Praca bardzo ciężka - 10 godzin pracy na dobę - co najmniej dwie godziny na odbycie drogi z fabryki na Goje i do pracy. W porze zimowej w śniegu, zaspach śnieżnych, przebycie 12 - 15 km drogi absorbowwały siły wątłego osobnika po ciężkiej pracy w kotłowni. Był zdeklarowanym abstynentem, czytał wiele, posiadał, wzorując się na najstarszym bracie Janie, dosyć pokaźną własną bibliotekę. Wychowany w domu rodzicielskim po ewangelicku, pracując u dwóch majstrów dwanaście lat - u majstrów też ewangelików - był na wskroś religijnym, wierzącym i praktykującym. Zaznajomiony z kolei z ruchem postępowym wolnomyslicieli - Myśl Niepodległa A. Niemojewskiego i wiele innych dzieł naukowych z tej dziedziny, pobyt znanego wolnomysliciela Jana Kempla, który w roku 1910 - 1911 mieszkał u brata Jana na Gojach - przybył z Parany - Brazylii, osobisty kontakt, zetknięcie się z J. Kempem, spowodowały zachwianie wierzeń religijnych. Brat Andrzej zmarł śmiercią tragiczną na posterunku pracy zawodowej, uległ śmiertelnemu wypadkowi przez porażenie prądem elektrycznym w kotle parowym w maszynowni "Portlandzementfabrik" w Goleszowie w miesiącu październiku 1912. Część jego biblioteki przeznaczono na rzecz publicznej Czytelni w Ustroniu. W wieku trzydziestu lat powziął zamiar żeniarzki, lecz przedwczesna niespodziewana śmierć przekreśliła plan jego dalszego życia. Brat Andrzej był bardzo skromnym, uczciwym, dobrym człowiekiem. Mimo wątłego zdrowia należał w Orłowej do Stowarzyszenia Gimnastycznego "Sokół" jako członek ćwiczący - zgrabny mundur sokoli, czerwona koszulka, wysokie buty zdobiły naszego "druha".

Krocząc śladami naszego najstarszego brata ś.p. Jana, zdaje mi się, że "zakaziliśmy" się książkomanią. Bo i brat Józef obok innych zainteresowań, o czym w następnym ustępie będzie jeszcze mowa, lubiał czytać,

lecz raczej tylko książki o lekkim temacie, cokolwiek gazety związkowe - polityczne. Nadmienilem poprzednio, że sam o wiele wcześniej rozpocząłem się interesować książkami i gazetami. Porzuciwszy pracę pastucha w sierpniu 1905, kiedy ze względu na słabo rozwinięty stan /wzrost/ fizyczny oraz więcej że zastój produkcji w fabryce maszyn w Ustroniu, gdzie ewentualnie mógłbym objąć jakąś pracę czy wyuczenie zawodu, zamiar spełnił na niczym, opuściłem dom rodzinny bez pożegnania z gotówką na zakup pięć bułek po 4 halerze /razem 20 halerzy/, ruszyłem do Cieszyna /14 km/piechotą w piątek 12.VIII.1905.

Idąc się po ulicach miasta Cieszyna przeszedłem całą orkęną trasę koło Głównego Dworca poprzez Most Jubileuszowy dwukrotnie i lądowałem znów na rynku. Po skonsumowaniu suchych bułek, bez grosza, trochę głodny i spragniony usiadłem na kamieniach leżących pod podsieniem na rynku, jako zapasowe obrobione przez kamieniarzy przeznaczone do krzyży cmentarnych prymitywnych, będących własnością firmy J. Kołodziejczyk - sklep żelazny itd. na rogu ulicy Głębokiej, obecnie Armii Czerwonej. Noc sierpniowa była nieco chłodna, zaczął padać deszcz, ale pod "Laubami" podsieni było sklepienie nad głową i przedrzemałem, zmoczony długą wędrowką w upalny sierpniowy dzień po szosie i bruku cieszyńskim - usnąłem znużony. Nikt z przechodniów nie zainteresował się mną, małym chłopczyką z drobnym wiazadekiem w chustce, koszulką i stare, starte buciki zawierającym. Sennym krokiem w deszczu ruszyłem coś o godzinie siódmej rano - zegar na wieży ratusza wazywał tę godzinę. Ruszyłem w kierunku zamku ulicą Głęboką. Idąc bezplanowo, sklepy o tej porze były jeszcze zamknięte, jedynie sklepy żywnościowe, jak stwierdziłem, były otwarte - piekarze, rzeźnicy, młeczarnia, a ja głodny i chłodny bez grosza w kieszeni, bezdomny sierota, opuszczony. Nagle dla mnie stał się cud niespodziewany. Otóż chłopiec w tym samym wieku, zobaczywszy mnie, wyczuł coś instynktownie i przeto z mostu pyta się - co tu robisz tak rano w deszczu na ulicy, czego szukasz - ja odpowiadam, że szukam ciotki - wdowy Wantułowej /jak się później z książki adresowej

Z regularnym rytmem zegara wahadłowego, odliczającego czas, godzinę za godziną, dzień za dniem - w sumie lata, dziesiątki lat, płynie ten czas jak woda. Płyną lata, aż nadszedł wieczór życia i zbliża się kres wędrówki, pielgrzymki ziemskiej. Instyktownie chwytam za pióro, by lekko już drżącą ręką starca skreślić, ująć kilka fragmentów z życia rodzinnego, ściśle rodzinnego. Z uwagi na sędziwy wiek /liczę sobie 78 lat/, powoli postępujący lekko zanik pamięci, pragnę zebrać kilka wspomnień, by je przekazać najbliższym członkom rodziny. Bez żadnych notatek, konspektów, czysto z pamięci - a taka sięga piątego ukończonego roku życia. W wyobraźni mojej snują się, podobnie jak na taśmie filmowej, zwykle szare, czasem o żywych barwach epizody, fragmenty z przeżyć, wydarzeń minionej przeszłości, nigdy już niepowrotnego dzieciństwa i młodości. Błogie wspomnienia z szczęśliwie przebytych beztroskich lat wczesnej młodości. Z szkolnej łatwy utkwily w mojej pamięci różne piosenki tak melodyjnie, jak i słownie. Śpiewniki A. Mławiczki, nauczyciela w szkole ustronńskiej, organista w kościele ewangelickim od roku 1898 przeniósł się do Cieszyna, gdzie pracował jako profesor muzyki w Seminarium Nauczycielskim, równocześnie pełnił obowiązki organisty w zborze cieszyńskim. W roku 1914 padł na posterunku od kuli rewolwerowej, wystrzelonej przez studenta - szaleńca. Do świetlanej postaci zasłużonego i wszechstronnie uwielbianego nauczyciela, w następnym odcinku wspomnień z lat szkolnych. -

Najulubiejszą piosenką, jaka głęboko utkwija w mej pamięci, to słowa poety śląskiego ś.p. Jana Kubisza p.t. "Ojcowski Dom", następnie piosenka o rzewnej melodii F. Flotowa - słowa Józefa Chmielewskiego - oraz wiele jeszcze popularnych piosenek szkolnych. Profesor A. Mławiczka ułożył - rozpracował na głosy. Całość wyszła drukiem w Wiedniu. /Śląsk Cieszyński jako kraj koronny monarchii Austro-Węgierskiej podlegał do rozkładu byłego mocarstwa w październiku

miasta Cieszyna dowiedziałem i ją później stale odwiedzałem - mieszkała naprzeciw dworca kolejowego, Friedrichstrasse 40 - biedna wdowa, utrzymująca się z posługi - sprzątania mieszkań zamożniejszych mieszczan kupców itd./.

Drugie pytanie przygodnie napotkanego chłopca brzmiało - chcesz iść za ucznia - ja pytam się czy może za szewca, czułem jakiś wstręt do tego zawodu, bo widywałem terminatorów zabrudzonych, boso, ale on mówi: tutaj do sklepu z kapeluszami i ~~maxxxx~~ futrami i do warsztatu pójdziesz, nauczysz się szyć czapki, kozuchy, mycki itd. Sklep pod nr 27 znajdował się obok znanego hotelu "Austria", obecnie Powszechny Dom Towarowy. Z drobnym, skromnym tobołkiem pod pachą wstąpiłem nieśmiało do ciasnej, słabo lampą naftową oświetlonej kuchni majstra - właściciela domu, sklepu, warsztatu kufnierskiego Teodora Baiboka. Przypadek zrzędził, że w rodzinie Baiboków była od kilku lat w roli kucharki niejaka Anna Błaszczyk - ciotka moja, rodem z Ustronia. Zaraz ukazała się okazała Pani Majstrowa i na zapytanie, czy chcę pozostać w nauce, bo mój wybawca już ją po niemiecku zdążył zapoznać z celem mojej wczesnej rannej wizyty. Zrazu uszczęśliwiony, powiedziałem, że tak. W okamgnieniu ciotka podała mi śniadanie, duży garnek białej kawy ziarnistej i świeżymi bułkami. Po śniadaniu zaprowadził mnie mój nowy kolega, przyszłego fachu do warsztatu kufnierskiego, mieszczącego się w osobnej kamienicy w podwórzu. Wszedłem jeszcze nieśmiały do pracowni futer, która była w byłym pomieszczeniu stajni przebudowana o okrągłym sklepieniu - wymiar 4.50 x 4.50 m plus szeń 4.5 x 2.5 m. Pomieszczenie nieco niechlujne, 3 łóżka nakryte tablicami z desek, ściany brudne, podłoga również brudna - dwie maszyny do szycia, stół duży i mniejsze dwa stoliki, podręczne warsztaty pomocnicze do pracy. Zrazu byłem rozczarowany, ale sytuacja była tego rodzaju, że musiałem się poddać i przyjąć takie warunki nie odpowiadające moim wyobrażeniom. Grunt, że zakotwiczyłem się na pewnym gruncie, bo i jadło i mieszkanie, i praca - widoki na wyuczenie się zawodu, jak się później okazało, dosyć dobrze popłatnego.

W warsztacie zapoznałem się z dwoma czeladnikami, ubranymi w białe drelichowe płaszcze robocze ochronne, wyglądali raczej na jakichś farmaceutów, jeden z nich, starszy, był kierownikiem pracowni, nazwiskiem Leon Chrzanowski, od roku 1912 samodzielny sklep i warsztat na ul. Armii Czerwonej. W roku 1945 wyemigrował z córką i zięciem, inżynierem, do Brazylii, Sao Paulo - cudowna miejscowość nad morzem o wiecznym lecie /Chrzanowski umarł w roku 1966 w wieku 85; korespondowałem od czasu do czasu z jego rodziną/. Drugi czeladnik, Stanisław Ziemiński z Nowego Sącza, trzeci Rzeziński Maksymilian, spod zaboru caratu, wówczas stary pijaczyna - alkoholik nieuleczalny. A mój przygodny przyjaciel, z którym łączę mnie dotąd nieprzerwanie, pomimo dzielących nas granicą krajów - mieszka stale od zakończenia pierwszej wojny światowej 10.XI.1918 w Wiedniu, gdzie się ożenił z obywatelką Wiednia, nauczycielką z zawodu - on zaś usamodzielniał się, zakładając sklep i pracownię kuśnierską w śródmieściu Wiednia przy pryncypialnej ulicy na skrzyżowaniu ulic Habsburgergasse 1 i Graben 15 w I-szym Bezirku /dom narożny, mieszczący i sklep jak i mieszkanie na pierwszym piętrze/. Ś.p. brat Jan w roku 1943 odwiedził go w Wiedniu - przebywał w gościnie mieszkając u niego przez kilka dni. Nareszcie wyjawię jego imię i nazwisko: Albert Fajkosz, urodzony w Markłowicach Górnych koło Zebrzydowic, uczęszczał do szkoły niemieckiej w Cieszynie w latach 1896 do 1904 - matka jego, wdowa, mieszkała w Cieszynie. Po ukończeniu Szkoły Wydziałowej /Bürgerschule/ poszedł do nauki w r. 1904 do firmy kuśnierskiej Baiboka w Cieszynie, ja znowu po spotkaniu dnia 13.VIII.1905 na ulicy Cieszyna poszedłem w jego ślady. On sam - wraz z jego rodziną, przebywał coś w roku 1935 - 36 na letnisku w Ustroniu przez dwa tygodnie, mieszkając u brata Jana. W okresie drugiej wojny w roku 1942 był powtórnie w Ustroniu z rodziną, w roku 1943 jesienią bawiłem u niego w Wiedniu 8 dni - przy nadzwyczaj pięknej pogodzie. Zamknął sklep /rzekomo z powodu choroby/, w rzeczywistości przy najlepszym zdrowiu, pojechał ze mną i moją żoną Anną do Tyrolu, by tam w zaciszu przy niejednej butelce starego wina spędzić trzy dni. W tym zakątku

górkim panowała sielankowa atmosfera przy obficie nakrytym stole - mięsiwa z własnego uboju restauratora zaprzyjaźnionego od lat z moim przyjacielem Albertem, gdzie od kilku lat z kolei spędzał 2 - 3 dni na weekendy.

Jeszcze jedno wspomnienie z okazji pobytu ś.p. brata Jana w r.1943 jesienią. Podczas pobytu w Wiedniu zwiedzał brat słynne muzea, zamek Schönbrunn, Prater, Kahlenberg oczywiście i wieczorem Grinzing z jego słynnymi winiarniami - Wein-Heurigerschenke mit Schrammelmusik. Brat był znanym abstynentem ~~podajże~~ od dwudziestego piątego roku życia. Z kurtuazyjnych względów odstąpił w czasie pobytu w Wiedniu na propozycję sympatycznego krajana ze Śląska, Fajkosza, od zasady ścisłego wstrzymania wypicia kielicha wina... W Wiedniu, w ratuszu "Rathauskeller" jest słynna winiarnia, tamże gościł Fajkosz swego miłego gościa i raczył lampką wina - najwytrawniejszych gatunków wina. Te próby smakowania kilku gatunków win za wieczór podziały na umysły - wiadomo - podniecająco. Wyszedszy z lokalu w późniejszych godzinach wieczornych, w ich wędrówce wspólnej we dwójkę, droga prowadziła koło "Parlamentu", wspaniałego gmachu /spalonego wskutek działań wojennych w roku 1945/. Pomimo obowiązującej ciszy nocnej mój przyjaciel donośnym głosem zaintonował po polsku: "Jeszcze Polska nie zginęła" - hymn polski narodowy znany przecie wszędzie. Na śpiew nikt nie zareagował. Wiedeńczycy nienawidzili najeźdźców hitlerowskich; w Wiedniu przebywało mnóstwo robotników z krajów wschodnich - Ukraińców, Polaków, Czechów itd. W każdym razie było to śmiałe wystąpienie, można było się narazić na przykrości już za samo zakłócenie ciszy nocnej.

O tym incydencie opowiadał mi ś.p. brat Jan oraz opisał w liście mój przyjaciel Albert Fajkosz, która nota bene nie zmienił pisowni swojego nazwiska i posługuje się pisownią polską, bo po niemiecku pisałby "Feikosch" lub "Fajkosch", zgodnie z pisownią niemiecką. Podczas naszego pobytu w Wiedniu na ulicach Wiednia głośno rozmawialiśmy po polsku, on prowokował mnie do tego. W korespondencji bardzo obfitej treści

i objętości listów 4 - 8 stron dużego formatu papieru kancelaryjnego, często ciekawych wywodów natury politycznej, wydarzeń międzynarodowych. Taka obfita korespondencja uprawiana od roku 1919 jest jakby obowiązująca obie strony, bo sam byłem inicjatorem tak obszernych listów. W stosunku do spraw religijnych jest obserwatorem, jak wynika z jego wywodów, obserwatorem obojętnym, z metryki rzymsko-katolik, z praktyki niewierzący, wolnomyślny. Według jego nomenklatury w listach do mnie posługuje się słowami określającego kler - jezuitów - zakonników "die schwarzen Raben, Kuttentrüder" /czarne kruki lub bracia w czarnych sutannach/. W życiu prywatnym jest uczciwym kupcem rzemieślnikiem pracującym w wolne soboty i niedziele na skrawku ziemi i ogrodu owocowego sadu, odziedziczonego po teściu z drugiego ożenku, po śmierci pierwszej żony. Wykonuje wszystkie roboty gospodarcze własnoręcznie pomimo wieku podeszłego - liczy sobie 77 lat. Wykonuje prace murarskie, kosi łąki, suszy siano i sprzedaje 1000 szylingów za tonę, a sprzedaje pięć ton przeciętnie co roku. Okolica, oddalona miejscowość o 35 km od Wiednia, obfituje w urodzaj doborowych owoców, na które nie ma zbytu na miejscu, zaś transport do Wiednia nie opłaca się. Albert Fajkosz według metryki kościelnej jest rzymsko-katolikiem. W rzeczywistości, jak wynika z jego listów, jest niepraktykującym, córka jego wyszła za ewangelika Bartelmusa - inżyniera - Bielszczanina /znana wielka, stara rodzina przemysłowców bielskich Bartelmusów/. Ponadto często w rozmowie używał zwrotów ciętych, krytykując klerykalizm rzymsko-katolicki, zakony - między nimi najostrzej zakon Jezuitów. W listach do mnie kilkakrotnie posługiwał się przy poruszaniu tematów religijnych w świecie, samej Austrii epitetami jak "schwarze Brüder, Rabbenbrüder, Kuttentrüder" itd. Pozytywnie, pomimo że jest samodzielnym i wolnym człowiekiem, trudniącym się rzemiosłem, jest nastawiony do socjalizmu i do całego ruchu postępowej potęgi partii komunistycznych, potęgi, która opanuje kształt polityki i gospodarki światowej, tym samym nastąpi stały upragniony pokój na świecie - na globie ziemskim. Kosmos do tej pory, to wielki problem przyszłości. Na

marginesie nadmienię, że w czasie okupacji, kiedy na własnej skórze zaznał rozkoszy "frajtra Hitlera", malarza kiepskiego, zbankrutowanego polityka i Führera "Tausendjähriges Grossreich Deutschland" z ogromną nienawiścią odnosił się do jego rozmowy. Ja sam w lecie - sierpniu 1944 dosyć śmiało awizowałem mu listownie o klęsce niemieckiej armii na wschodzie na podstawie kontaktów z żołnierzami z frontu wschodniego, obserwowałem wzmożony ruch przesiedleńców z Besarabii, Rumunii, Rusi, które to kolumny przejeżdżały przez Śląsk - różnymi drogami ciągnęły, już nawet w popłochu - na zachód. Przewidując klęskę militarną, Niemcy wywozili na przykład z Andrychowa, Chełmka, Krakowa urządzenia fabryczne, liczne maszyny do Reichu, którego obszary cierpiały pod nalotem aliantów. Z większym pośpiechem Niemcy poczęli budowę rzekomo najpotężniejszego wału obronnego pod nazwą "Ostwall" na linii od Karpat - Nowy Sącz - Kraków - Częstochowa i dalej na północny zachód, na szczęście za późno - nie skończono budowy na skalę gigantyczną projektowaną - ofensywa radziecka ujarzmiła coraz więcej potęgę militarną hitlerowskich Niemiec.

Niemcy przystąpili do zmobilizowania ostatnich swoich rezerw, stworzenia korpusu "Volkssturm", mężczyzn, starców od 55 roku życia do ponad 60 lat, ludzi starych życiem i poprzednich wojen steranych - zużytych, wyniszczonych zdrowotnie. Do budowy wałów ochronnych przeznaczono zeganą ludność cywilną, kobiety, część starszych urzędników państwowych. Ostatnia nadzieja uratowania Heimatlandu pierzchła, bo dnia pamiętnego 9 maja 1945 kapitulowały Niemcy w Berlinie po uprzednio dokonanym samobójstwie nazistów z Hitlerem, Goebbelsem itd. na czele.

ⁱ⁾ Nadmienię krótko, że Urząd Celny okupacyjny, gdzie pracowałem, skierował do Komendy Ostwallarbeiten - w pierwszych dniach sierpnia - ale zbieg okoliczności, że musiałem się poddać bolesnej operacji guza rodowego umiejscowionego obok arterii uda lewego, dokonanej w Szpitalu Śląskim przez dyrektora chirurga, właściciela prywatnej kliniki w Berlinie, jak mi opowiadał. Z powodu potrzeby unieruchomienia mięśni uda - musiałem leżeć - dyrektor ów wydał zaświadczenie o niezdolności do

pracy na czas 30 dni - gdzieś do 10 września 1944. Tyle mi powiedział: "An Ostwallarbeiten werden Sie sich nicht beteiligen, dafür werde ich schon sorgen". I rzeczywiście drugi miesiąc odpoczywałem w domu ...

Ale jeszcze nie dałem za wygraną, bo z deszczu dostałem się po rynnę ...

W październiku powołano mnie do formacji Volkssturmu bez żadnego poprzedzającego badania lekarskiego, jakie praktykowano przy wcieleniu do formacji wojskowych. Nastąpiło błyskawiczne przeszkolenie w formacji ostatnie ruszenia pospolitego. Zrazu nie posiadali już mundurów, więc cywilbanda z opaskami na rękawie "Volkssturm" oznaczała tą jakąś kolumnę. Częściowo skoszarowani w koszarach wojskowych, reszta zaś na własne żądanie na własnym wikcie, bez żołdu - jak to było w formacjach wojskowych praktykowane, żołnierz otrzymał menaż, mundur i żołd i skoszarowanie.

Osobiście wolałem żołnierkę na własny koszt, byłem więcej wolny, tylko na naznaczoną godzinę musiałem się stawić, to jest na ćwiczenia, strzelanie na strzelnicy, marsze, apele i zbiórki. W styczniu 1945 ofensywa armii radzieckiej zmusiła Niemców do chaotycznego odwrotu aż do granic Śląska Cieszyńskiego, okręgu sudeckiego koło Opawy, dalej linii Sudetów aż po Ziemię Kłodzką, otaczając olbrzymim pierścieniem zamkniętych w twierdzy "Broclaw", wycofując się armię rzeszy na lewy brzeg Odry, jednym słowem: odwrót na całej linii od Kołobrzegu, Szczecina aż do zwycięstwa armii wschodnich i zachodnich sprzymierzonych aliantów, do kapitulacji w Berlinie u bramy brandenburskiej, gdzie zawisły sztandary zwycięstwa haniebnego upadku brutalnego reżimu nazistowskiego i brutalnie prowadzonej wojny na frontach i tyłach, przeważnie zaś po krajach sobie podbitych, okupowanych kontynentu europejskiego. Przeżyłem ten chaotyczny odwrót w dzień i w nocy w styczniu 1945. W krytycznych dniach gwałtownego odwrotu armii hitlerowskiej, przed ostateczną klęską militarną uratowały ją chwilowo nagłe opady atmosferyczne w postaci wielkiej ilości śniegu, zasp. Ofensywa zatrzymała się na linii Żory, Pszczyna, Strumień, Bielsko, gdzie toczyły się szalone walki przez szereg jeszcze tygodni. Na ostatecznej linii obrony na Śląsku Cieszyńskim okopy

przebiegały przez - Wisłę - Ustroń - Goleszów, Ogrodzoną, Dębowiec, Kończyce, Pruchną na zachód od Skoczowa. Dnia 3 maja oswobodzono rannem Cieszyn. Niemcy o północy wysadzili wszystkie mosty, nie tylko strategicznie ważne, lecz na ubocznych drogach, na Puńcówce 2, nad Bobrówką 4, most kolejowy 2 żelazne nad Olzą i wojenny drewniany, zbudowany jako "Notbrücke" przez Niemców w roku 1939, który przy płaskich brzegach i płytkim nurcie Olzy został przez oddziały pioniersko-saperskie w ciągu kilku godzin zbudowany i służył do czasu odbudowy trwałych żelbetonowych mostów na Olzie w Cieszynie. Wszystkie inne mniejsze mosty zostały równocześnie na nowo przebudowane. Tory kolei żelaznej na przestrzeni Bielsko - Skoczów, prawie po sam Goleszów zostały zupełnie zniszczone, progi - podkłady spalone, słupy telefoniczne, telegraficzne wszystkich linii wysadzone nabojami wybuchowymi, bądź też ścięte piłami mechanicznymi. Spustoszenie i zniszczenie wszelkich środków komunikacyjnych, łączności telegrafo-fonicznej - wojna totalna. Niszczył wróg wszystko, zabijał niewinnych ludzi, pewny że już nigdy nie powróci na ten teren - kraj - którego ludność stawiała opór poprzez partyzantkę, sabotaż i wiele innych przemyślanych planów odwetowych, częściowo z narażeniem życia śmiałków i ofiarnych patriotów dokonanych. Cześć i wieczna sława wszystkim bohaterom, patriotom uciemiężonych narodów przez brutalną przemoc faszystów!! Do Cieszyna i sąsiednich wiosek dnia 3 maja 1945 wczesnym rankiem wtargnęły pierwsze patrole wojsk radzieckich w pościgu niedobitków hitlerowskich, którzy wreszcie na linii powiatu Frydek zostali odcięci przez grupę operującą armii radzieckiej od strony Morawskiej Ostrawy aż do słowackiej granicy. Niedobitki wraz z taborem zajęci zostali w niewolę i dalej poprzez niziny Morawy szedł pochód zwycięzców na Pragę, gdzie otoczeni od austriackiej strony poddać się musieli. W bitwie o Pragę brały udział jednostki zmotoryzowane Polskich Sił Zbrojnych, utworzonych na ziemiach Związku Radzieckiego.

W Cieszynie, w święto obchodów 3 majowych w międzywojennej Polsce obchodzonych zwołano odruchowo wiec na rynku. Z balkonu przemawiał

nestor księży ewangelickich - najwięcej powołany i zasłużony Polak - kapłan ks. Jan Stonawski. W płomiennych słowach, wypowiedzianych z balkonu Domu Narodowego dziękował zwycięzcom i wyzwobodzicielom skrawka ziemi cieszyńskiej. Ze łzami w oczach tłumy słuchały patriotycznego przemówienia. Pomimo rzesistego deszczu, jaki padał od wczesnego ranka, tłumy nie rozchodziły się. Na ulicach miasta pojawiły się pierwsze czołgi które w pościgu aresztek armii niemieckiej przeforsowały przeszkody - naszpikowane minami wybuchowymi na całej przestrzeni pól i dróg publicznych od strony Skoczów - Ogrodzona - Hażlach - Kończyce itd. Na rynku cieszyńskim wyrosła z potężnego czołgu składana, wysoka antena radiowa, jako łącznik nowoczesnej armii. Na rynku cieszyńskim zjawił się w południe dnia 3.V.45 pierwszy patrol wojska polskiego z dowódcą plutonu podporucznikiem W.P. /rodzice mieszkają Cieszyn, Przepilińskiego, ojciec był kuratorem zboru cieszyńskiego, ewangelickiego/ Janem Kluzem, który poprzednio zdezerutował z wojska niemieckiego na froncie wschodnim i wstąpił do jednostki Polskiego Wojska. Ten sam patriota polski, nie mogąc się pogodzić z rzeczywistością po roku 1945, przerzucił się na Zachód, żyje w Anglii, rodzice żyją w pobliżu - w odległości stu metrów - ojciec emeryt kolejowy, matka zmarła przed dwu laty, jako wdowiec ożenił się przed rokiem, jest prezbiterem przy zborze ew.cieszyńskim. - -

W mroźne noce często siedziałem przykucnięty w rowach obronnych, przeciwpancernych żelaznych silnych zapór, często i z grubych okraglaków zbudowanych, głęboko w ziemi zakopanych lub zabetonowanych - w takich okopach z nowoczesną bronią przeciwpancerną "Panzerfaust", straszliwej, niebezpiecznej broni, której płomień wybuchowy wynoszący 6000 stop.C przetapiał pancerze, zapalał benzynę w zbiornikach - cały tank - czołg poszedł - o ile dobrze trafiony w czułe miejsce - do powietrza. Na peryferii miasta od północy - zachodu i wschodu miasta Cieszyna było szereg takich zapór przeciwczołgowych z możliwością przejazdów dla własnego ciężkiego taboru - właśnie tę lukę musiał zastąpić "volksszturmista" z jego diabelską bronią nowoczesnej techniki, sam

narażając się na niechybną śmierć w przypadku niewypału, czy też zaskoczenia ze strony partnera frontu przeciwnego, w języku wojskowym zwanym "wroga nieprzyjaciela". Wsunięty na posterunku, w noc ciemną i mroźną, samotny, trzymający kurczowo palce na zabezpieczeniu spustu, zamysłony, zapatrzony w mrok nocny mroźnych miesięcy od końca stycznia 1945 do końca miesiąca marca 45 - bo w kwietniu stajały już śniegi i wiosna prawdziwie piękna zawitała do końca kwietnia i prawie wszystkie pola były uprawione i obsiane przez troskliwych rolników i gospodarzy.

Pamiętam: w noc mglistą po 20 kwietnia 1945, pełniąc ostatnią służbę w okopach koło "Panzerabwehrstelle" sam jeden tuż koło starego cmentarza żydowskiego /na którym Gestapo strzałaми w potylicę, bez żadnego sądu czy przesłuchania wykańczała im niewygodnych obywateli - ofiary terroru są pochowane w grobie zbiorowym na cmentarzu komunalnym w Cieszynie po przewiezieniu zwłok zidentyfikowanych, czasem zmasakrowanych do niepoznania, więc tylko z przypuszczenia lub ubioru domniemywano się identyczności zwłok/.

Otóż pełniąc tę ostatnią nocną służbę na zagrożonym odcinku drogowym /bo zwolniony z następnym dniem z Volksszturmu, otrzymałem nakaz powołania mnie do "Wehrmachtu" z obowiązkiem stawienia się do garnizonu Mährisch - Schönberg na Północnych Morawach, gdzie szwagier i siostra Anna od roku 1910 mieszkali/, powtarzam, że pełniąc ostatnią służbę przy cmentarzu żydowskim z ciemności i mroków nocy wyłoniło się kilka czołgów najcięższego typu armii hitlerowskiej, oczywiście bardzo ostrożnie musiały przepierać się poprzez wykrętasy zapory przeciwpancerne, toteż jeden z przygodnych członków załogi czołgu wysiadł, by zaczerpnąć świeżego powietrza wiosennego. W planie strategicznym wycofywano niespostrzeżenie ciężkie czołgi w ciemności nocy, by je przesunąć w tył w bezpieczniejsze miejsce, bo wiadomo było, że linia koło Zebrzydowic - Pruchna - Kończyce - Hażlach nie da się obronić - jako pozycja już stracona. Odjeżdżający podoficer obsługi czołgu ciężkiego "Tiger" zawołał do mnie: "Kamerad, rzuć tę zasraną broń, ona cię raczej zgubi, gdybyś chciał zaatakować Iwana, to

jest ruski czołg takiego kalibru jak nasz, zresztą spodziewaj się lada chwila i godzina najazdu czołgów radzieckich, które są nam już na piętach czy gąsienicach".

Upatrywałem miejsce ucieczki przez mury pobliskiego cmentarza katolickiego, zaś "Panzerfaust" powiesiłem na klamrach wiazowych słupa przewodów telefonicznych. Nadszedł ranek i godzina zmiany warty - ostatnia moja. - Patrole armii radzieckiej dopiero 3 maja przekroczyły tę linię zupełnie bez boju, oprócz drobnych potyczek patroli uchodzących - "Nachhut" i patroli wstępujących - "Vorhut". Mając nakaz powołania do wojska, na pamiętkę zachowałem, ponieważ nie usłuchałem i polecenia, zagrożonego w przypadku nie wykonania go, to jest w razie dezercji - karą śmierci przez rozstrzelanie bez sądu. Na murach miasta Cieszyna i wiosek w powiecie wisiały czerwone plakaty, doraźnie w Cieszynie czy też na polowej drukarni wykonane, z ogłoszeniem dużymi literami drukowane ogłoszenie, że wegen Fahnenflucht, Feigheit, Verrat usw. itd. został skazany żołnierz Wehrmachtu taki i taki, syn ojca... matki na śmierć przez rozstrzelanie, wyrok został doraźnie wykonany. Czasem było kilka nazwisk. Za przechowywanie żołnierzy /ukrywanie/ w domach, żołnierzy armii niemieckiej groziła kara śmierci i były wypadki dokonania egzekucji na starych obywatelach, którzy z litości ukrywali dezertersów, dając im cywilne ubranie. Czytałem osobiście takie ogłoszenie w Ogrodzonej.

Jeszcze nadmienię, że w Ustroniu i okolicy zakwaterowano oddziały wojska okupacyjnego, był zresztą front w Ustroniu, w Skoczowie, Górkach, Wiśle - Istebnej itd. Na Gojach u brata Jana było zakwaterowanych kilku żołnierzy. Jeden oficer i jeden feldwebel i kilku szeregowców z taborem konnym. Zachowanie ich było wzorowe według oświadczeń brata i bratowej. Oficer oraz feldwebel byli z zaboru austriackiego, z okolic Wiednia. Żywności ani paszy nie rekwirowali, czerpali z własnych zapasów magazynów wojskowych, zresztą grupa ta należała do zaopatrzenia kompanii własnej własnymi prowiantami. Zakwaterowanie trwało od lutego do końca kwietnia 1945, czasu odwrotu w stronę Cieszyna - Frydku. Zdarzało się - mówił mi

1918 rządowi wiedeńskiemu/. -

Mimo wieku młodocianego żywo interesowała mnie polityka, miałem sposobność czytania gazet w Domu Robotniczym /Arbeiterheim/, gdzie siłą dynamiczną byli drukarze, zatrudnieni w wielkiej cieszyńskiej drukarni Karola Prochaski. Zakłady graficzne tej miary posiadały urządzenia najnowocześniejsze, znane w latach przedwojennych. Zakład ten słynął z pięknie wykonanych graficznie książek, książek oprawionych w płótno, nawet pięknie wykonanie robót introligatorskich w skórze. Drukowano barwne - kolorowym drukiem - atlasy geograficzne, olbrzymie mapy dla celów wyposażenia szkolnego w całej monarchii. Firmy wydawnicze z zagranicy Lipsk - Leipzig, firmy szwajcarskie zlecały różnego rodzaju wykonanie druków, książek; widziałem książki naukowe - szkolne z dziedziny botaniki, zoologii, w różnych kolorach na pierwszorzędym papierze drukowane. Wydaje mi się, że drukowano w latach 1850 - 1900 - 1910 kancjonały, być może i postylle drukiem gotyckim - zresztą jak wszystkie książki religijne ongiś drukowane były wyłącznie gotykiem - druk znany w każdej rodzinie na Śląsku - rodzice wszyscy, również i nasi, dbali pilnie, aby ich dzieci opanowały pisanie i czytanie nie tylko "Ślabikorza" /elementarza/, lecz również świętych ksiąg kościoła, znanych i używanych w rodzinach ewangelickich. Już od piątego roku życia mozolili się rodzice przyswoić ich lateroślom sztukę opanowania, poznania sztuki Gutenberga.

Poprzednio zaakcentowałem zdanie, że sprawy polityczne mnie absorbowwały dogłębnie. Do tego tematu nawiązę jeszcze nieraz w niniejszym pamiętniczku. Przede wszystkim nie pragnę zanudzać kogoś, który będzie miał trudności w odcyfrowaniu nieco nieudolnej mojej kaligrafii. Muszę przyznać, że ręka lekko drżąca, bądź to z przyczyny jak uwiad starczy lub też ze wzruszenia, nie może być inaczej, przelewając myśli na kartki niniejszego brulionu z dawno minionej przeszłości, wesołych słonecznych dni, lecz los nieubłagany na przestrzeni długiego życia nie oszczędził nam bolesnych ciosów.

brat - bo sam byłem kilkakrotnie rowerem w tym czasie w Ustroniu i rozmawiałem ze wszystkimi zupełnie otwarcie - oficer ów ofiarowywał jakiś prowiant - konserwy - kawy i inne, nawet napoje alkoholowego gatunku jako rewanż za pięknie urządzone i wygodną dla nich wszystkich kwaterę. Matka feldwebla żyła gdzieś pod Wiedniem. Syn na pewno napisał matce, że przebywa tutaj w podgórskiej wiosce i że czuje się dobrze. Pokazywał bratu Janowi list, w którym matka błaga go: Synu, nie czyń żadnej krzywdy ludziom, którzy są dobrzy ku wam, ku tobie.

Muszę zaznaczyć, że ludność na Śląsku, która mimo wielu doznanych krzywd i nieprawości była pokojowo, lojalnie i ugodowo nastawiona w stosunku do najeźdźcy i w przypadku wyróżniających się w obcowaniu z ludnością miejscową uprzejmych i uczynnych Niemców potrafiła się nawet zaprzyjaźnić i odwzajemniać się pięknym z nadobne. - Dywizje austriackie walczące na froncie zachodnim /i na Bałkanach, Włoszech itd./, nasza 106 dywizja tuż pod Verdunem, gdzie zachorowałem w wrześniu 1918, następnie znalazłem się w szpitalu polowym /Feldlazarett/ za frontem, następnie w miastach Mannheim, Wiesbaden, Frankfurt am Main, Bad Wildungen /.../ W czasie prawie dziesięciomiesięcznego pobytu w Niemczech, będącym w szpitalach wojskowych leczony, miałem bardzo przychylnie usposobionych mi kolegów wojskowych, lekarzy wojskowych, z kilkoma lekarzami i kolegami z szpitala wojskowego, z którymi dzieliłem los żołnierza chorego lub kaleki. Przez kilka lat utrzymywałem serdeczną korespondencją z lekarzami, pielęgniarkami i rezerwistami z wojny światowej. Nigdy w żadnym przypadku nie dąli mi poznać, czy gestem czy słowem, że jestem u nich natrętnym obcokrajowcem, wszak widzieli, że noszę błękitny mundur piechura austriackiego /w dniu rewolucji w Niemczech 9.XI.1918 zerwałem wszelkie oznaki starszeństwa, co uwidocznione jest na zdjęciu fotograficznym zbiorowym wraz z kolegami, żołnierzami - pacjentami wojskowego szpitala garnizonowego w Frankfurcie nad Menem. Byłem równouprawnionym - bez różnicy obywatelstwa, nie wiem z jakiej racji, bo chyba ordynacja wyborcza prusko-niemiecka chyba nie przewidywała prawa udziału w wyborach

obcokrajowca trzykrotnie w jednym miesiącu zapisanego skrupulatnie przez męża zaufania szpitala garnizonowego, gdzie czasowo przebywałem. W lokalach wyborczych w arkuszach list wyborczych - wszystkich trzech różnych wyborów figurowałem, samochodem sanitarnym podwieziono mnie do lokali wyborczych w różnym terminie wyznaczonym, wybory odbywały się wyłącznie w niedzielę. Więc głosowałem 1. do Reichstagu w Berlinie, 2. do Landtagu /Preussischer Landtag/, 3. Gemeindestadtahlen /jak kiedyś sejmy galicyjski, opawski itd./ miasta Frankfurt am Main. Sympatyzując już przed wojną w latach od 1907 roku począwszy, nadal z ruchem obozu partii Socjalno-Demokratycznej, później PPS, aby po zjednoczeniu obu partii przejść do PZPR, głosowałem każdorazowo w miesiącu styczniu 1919 przed odnośnymi komisjami wyborczymi wyłącznie na listę Sozial-Demokratische Volksliste - Partia Rządowa prezydenta Eberta /rymarza z zawodu/ oraz prezesa Rady Ministrów Scheidemanna. Z miejsca kiedy przydzielono mnie do szpitala wojskowego w Frankfurcie zaabonowałem kilka gazet, dziennik, organ Partii Socj. Dem. Frankfurter Volksstimme, pismo ilustrowane, polityczne karykatury, i inne tygodniki jak Woche. Wierny zasadom młodych lat, kiedy uczyłem się pracować politycznie, czytałem i socj. dem. "Naprzód" krakowski, Robotnika Śląskiego, Bielitzer Volksstimme i Ceske Pravo Lidu i inne.

Żyłem tym ruchem ujęty od 17 roku życia i pozostałem wierny tej idei do dziś i z tym ruchem zakończę, może już niedługo, moje życie. W roku 1918, w miesiącu marcu /coś od 15.III.1918/ byłem w formacji 106 dywizji piechoty /general Brygady Krutky/ w Radomiu, później w Wierzbniku itd. Mimo zakazu ze strony władz wojskowych uczęszczałem do Domu Robotniczego w Radomiu w wolnych od zajęć wojskowych chwilach. Duży napis na Domu Rob. opiewał: "Proletariusze wszystkich krajów łączcie się". Byłem chyba jedynym żołnierzem z naszej kompanii, który odwiedzał ten lokal, obejmujący czytelnię publiczną, kilka gazet polskich i niemieckich mocno cenzurowanych białymi plamami, oprócz tego była kuchnia stosunkowo tania, była jakaś grochówka, fasola zasmażona, kluski ziemniaczane, pierogi - wszystko to wspaniale smakowało.

smaczne, obfite, do tego dla kieszeni żołnierza dostępne. W kompanii jedzenie było w 1918 roku bardzo marne, jeden chleb komiśny na jeden dzień na pięć ludzi - nie więcej jak 30 dkg, do tego chleb niesmaczny, pół otrąb i całych w skórce jeszcze starych ziemniaków, nieraz chleb był już spleśniały, niezdatny do spożycia, bo nawet konie kompanijne nie dotknęły takiego chleba. Na obiad trochę zupy z chudych krów z kartoflami i kawałek mięsa, na wieczór trochę pęczaku, prawie że codziennie, rzadko zupa fasolowa - fasole można było na sztuki liczyć. Toteż koniecznie trzeba było się dożywiać, gdzie kto mógł. Fasowałem tytoń liściowy fajkowy, nieraz papierosy cienkie, wszystko to zamieniałem na wsi u chłopów małorolnych za jedną kromkę i na kwartę mleka, chleb razowy lub ziemniaczki kraszone słoniną z zsiadłym mlekiem. A gdy była okazja pędziłem do miasta Radomia oddalonego o jakieś 6 km od naszego miejsca postoju w jednej z fabryk garbarni nieczynnej. Do chłopów miałem blisko, więc się dożywiałem jak mogłem, coś niecoś z żołdu, na on czas panującej tam drożyzny - dewaluacja pieniądza - żołd był coś 2 korony na dzień, bochenek chleba kosztował 10 koron, z pyłowej mąki dwa razy drożej. Żona przysyłała mi od czasu oszczędności moich z czasu pokoju na moją prośbę, kilka koron, i tak łała się niedobór w wikcie! Brak wszelkiej żywności objawił się w 1918 r. w całej monarchii. Jadąc z transportem bydła zarekwirowanego w Królestwie Polskim - gubernia lubelska - cały transport 35 wagonów - do obsługi pejenia bydła kilkadziesiąt krów w czasie transportu na włoski front, przydzielone kilku robotników, którzy na tym transporcie coś zarobili. Zakupili kilkadziesiąt bochenków chleba na wolnym rynku bezkartkowego po wygórowanej cenie, zapakowali do worków i każdy z nich w wagonie do krów ulokował towar przeznaczony na wymianę handlową w Wiedniu, przez który przejeżdżaliśmy, a gdzie postój na bocznym dworcu przez kilka godzin trwał, tam odbywało się pejenie bydła wysuszonego w czasie kilkudniowej podróży pociągiem towarowym, wlokącym się z prędkością 30 km godz. i częstymi postojami na różnych stacjach i dworcach. Jako

komendant transportu miałem oprócz mnie trzech żołnierzy z bronią i osiem robotników do obsługi karmienia i pojenia bydła, a trzeba było pilnować, bo robociarze uprawiali różny handel wymienny za odzież, obuwie, bieliznę itd., a bydło mogło zginąć, za co byłem osobiście odpowiedzialny i często sam jak i moi żołnierze poliliśmy bydło spragnione, a nieraz na dworcach trzeba było kilkaset metrów przemierzyć perony od pompy do wagonów stojących na bocznych torach. Nieraz w nocy po ciemku - bo w związku z nalotem bombowców nocnych - miasta, dworce tonęły w ciemności, dobrze że w sierpniu są noce jeszcze krótkie, niekiedy tylko świtało, a postój na dworcu trwał, to wtedy wszystkimi siłami pracowaliśmy i trzeba było nieraz zagrozić kolbą od karabinu, by leniuchów do roboty przynaglić. Od czasu do czasu na stacjach otrzymaliśmy wszyscy z transportu jakąś mamałygę z kukurydzy, zwaną polentą, dosyć pożywną i smaczną, i dosyć duże porcje. Na podstawie marszruty otrzymywałem te dodatkowe porcje o każdej porze dnia czy nocy w kuchniach wojskowych dworcowych. Odprowadziłem cały transport bez strat na front włoski kilkanaście km na terytorium włoskie. Były nocne naloty bombowców, bombardowania w górskim terenie Włoch. Podczas podróży odbywało się dojenie krów, które pomimo słabego karmienia wyłącznie sianem, rzadko kiedy trawą zieloną, podczas postoju w polu. Za mleko robotnicy otrzymywali papierosy, bieliznę. W Wiedniu mieliśmy postój od godz. 5⁰⁰ do 14⁰⁰ na dworcu w Floridsdorf w dzień niedzielny, piękny i słoneczny, prałem na dworcu bieliznę zawieszoną, parząc insekty wodą przegrzaną z parowozu obsługującego nasz transport. Za mleko, o które prosiły pięknie ubrane panie, podchodząc do transportu bydła, otrzymaliśmy nieco słodyczy i czekolady - więcej z litości daliśmy tyle na ile nas było stać, względnie nasze wychudzone bydełko.

Jeżeli pisałem na stronie tego zeszytu nr 102 - 103, że uchyliłem się od służby wojskowej w kwietniu 1945, to nadmienię, że syn mój Karol, który wcielony został do wojska jeszcze w latach 1942 /w czasie kampanii wrześniowej jako dowódca plutonu działek przeciwpancernych w pułku

strzelców podhalańskich nr 4 dostał się w lasach lubelskich do niewoli niemieckiej, przewieziony do Krakowa uciekł z transportu, przebrał w ubranie cywilne i różnymi środkami dostał się do Cieszynia/. W wojsku niemieckim pełnił służbę na lotnisku w Gandawie /6 km od Wrocławia/ przy obsłudze działek przeciwlotniczych, później od 1944 roku przy urządzeniu radarowym, od jesieni 1944 w Dąbrowie Górniczej w takim samym charakterze. W styczniu 1945 coś około 27.1.45 umknął z transportu wojskowego w Boguminie i przypadkowo trafił do polskiej rodziny Danelów, pochodzących z Poznańskiego. Wszyscy - cała rodzina bez "Volkslisty", ojciec kolejarz za 100 marek miesięcznie - synowie na podrzędnych stanowiskach pracy. Z całą gotowością przyjęli, ryzykując wolność osobistą, nawet życie za udzielanie pomocy dezertantom z wojska niemieckiego. Ulokowano go nasamprzód w baraku w podwórzu, gdzie była rupieciarnia. Tam było niepewne lokum, ponieważ lokatorzy w jednopiętrowym domu, gdzie mieszkała rodzina Danelów, reszta trochę zniemczali, nawet jedna niepewna Czeszka, która okazała zrazu jakieś zainteresowanie, chociaż raz podczas przyścia spotkała w korytarzu syna w mundurze niemieckim z bronią, bo pełnym rynsztunku wojennym. Broń, umundurowanie oddał natychmiast synom, sam zaś poszedł na kwaterę do piwnicy ciemnej, gdzie było sporo węgla na zapas zimowy. Na węglu usłano pościel z kolejarskich kożuchów. Dwudziestoletnia córka była aniołem stróżem, nosiła jedzenie ukryte w wiadrze od węgla - niby że szła po węgiel, zaś wiadro z wydzielinami wносиła po kryjomu codziennie do kloaki. Po kilku dniach powiadomiła nas - rodzinę, że syn znajduje się u nich od dnia, zdaje się od 28.1.1945. W święto Trzech Króli dowiedziałem się osobiście w Cieszynie o całokształcie rzeczy. Następnego dnia wyruszyłem do Bogumina z prowiantem, różnego rodzaju kart żywnościowych - tak zwane "Reisemarken" wszędzie chodliwe, oczywiście nieco pieniędzy - tak niespostrzeżenie odwiedzaliśmy kolejno w pojedynkę, wioząc niezbyt widoczne pakunki z żywnością, bo rodzina Danelów jako Polacy mieli zmniejszony przydział wszelkiej żywności na kartki - ja zaś mogłem

zakupić mięsa, tłuszczu, masła bez kartek, nawet cukru, chociaż po wygórowanych cenach, ale miałem pod dostatkiem. Po kilkunastu dniach wystarałem się o oryginalne papiery z fałszywym wpisany nazwiskiem "Karol Hajek", emerytowany dyrektor szkoły z Morawskiej Ostrawy, którego syn był zamknięty w więzieniu w Cieszynie jako politycznie niepewny jeszcze w latach 1940 - 1941. Syn jako były sekretarz Powiatowego Sądu w Cieszynie za pośrednictwem byłego sędziego tegoż sądu - u pracującego w okresie okupacji - nazwiskiem Kubica ze Śląska Cieszyńskiego - był tłumaczem u tegoż sędziego i innych przydzielony. Pośredniczył w widzeniu przy odwiedzinach więźniów politycznych, udostępniając przez interwencję u naczelnika sądu widzenie się z więźniami od czasu do czasu. Tenże Hajek zaprzyjaźnił się bardzo z naszą rodziną, toteż wybrałem jego nazwisko łatwo zapamiętalne, wpisane na oryginalnym formularzu urzędowym, drukowanym z oryginalną pieczęcią okrągłą poważnej instytucji, bo "Hauptzollamt Teschen - Schlesien" podpis zgrabnie, udanie podrobiony i na podstawie tego dokumentu w razie kontroli w mieszkaniu, a były takie kontrole w poszukiwaniu uciekinierów z wojska - lecz na szczęście tylko raz była taka kontrola u p. Danelów w nocy, kiedy syn był jeszcze ulokowany w piwnicy. Mając oryginalny dokument przebywał w trzech izbowym mieszkaniu na I piętrze, nie wychodząc wcale ani krokiem na korytarz, siedział po cichu w pokoju odstąpionym przez p. Danelów. Płynęły wiecznie trwające dni - tygodnie, aż dopiero dnia 2 maja 1945 został Bogumiń przez zwycięską armię radziecką wyzwolony. Komendant miasta, major wojsk radzieckich, po stwierdzeniu faktów przez rodzinę Danelów zapodanych, wydał przepustkę umożliwiającą mu bez przeszkód powrót do domu do Cieszyna, gdzie następnego dnia, to jest 3.V. 1945 Niemcy opuścili miasto. Syn powrócił szczęśliwie do Cieszyna do rodziców, żony i dzieci po 99 dniach pobytu u życzliwej rodziny Danelów, którzy wyzyskując wolność osobistą z narażeniem życia całej rodziny podjęli się tyle trudu w czasie prawie studniowego pobytu. Do tej pory przyjaźń w tych warunkach przetrwała próbę i trwa nadal. Zaś

obywatel, szanowny sojusznik czeskiej narodowości, dowiedział się o nadużyciu jakie popełniłem, że użyłem jego nazwiska do fałszywego dowodu, co go nawet rozweseliło. List przy pomocy słownika czeskiego napisałem pono poprawnie, bo pisałem po czesku: "Podziwiam Was, drogi przyjacielu, że zdobyliście się na napisanie listu tak piękną czeszczyzną, do tego bezbłądnie." Czytałem od młodości czeskie gazety, książki czeskie, opowieść J. Haska p.t. Dobry wojak Josef Svejek w sześciu tomach w języku czeskim umiałem prawie na pamięć. W języku polskim przekład Hulki-Laskowskiego, 4 tomy, tłumaczenie w języku niemieckim w 4 tomach, oglądałem niemy czeski film, następnie film dźwiękowy, teatr krakowski przedstawił w teatrze cieszyńskim sztukę Dobry wojak Szejek, następnie teatr czeski nowo opracowaną sztukę pod tym samym tytułem wystawił w Cieszynie z powodzeniem. Radio wiedeńskie podaje od czasu do czasu fragmenty. Na temat satyry, filmów i notatek prasowych mógłbym zapisać pół brulionu niniejszego. Dzieło Haska nabyło prawo nieśmiertelności, trwać będzie wiecznie - jak utwory Homera...

A teraz cofnę się wstecz z moimi myślami do lat mojej pierwszej młodości. W szesnastym roku życia zacząłem się interesować głębiej zagadnieniem socjalizmu, czytając wywieszoną prasę w języku polskim Robotnika Śląskiego, w niemieckim zaś "Dielitzer Volksstimme". Gazety wymienione umieszczone były w oknie wystawowym przy ulicy dawniej Niemieckiej, obecnie Menniczej w lokalu sklepowym "Konsum Robotniczy" /Centrala w Łazach - filia w Cieszynie/, instytucji pod nazwą P.P.S. Konsum Robotniczy dobrze prosperująca placówka handlowa na Śląsku Cieszyńskim. Była Centrala w Łazach - obecnie w granicach C.S.R. - jest potężną instytucją handlową. Otóż w wystawie wywieszano cotygodniowo nowe gazety, ważniejsze artykuły były kolorowym ołówkiem obramowane - podkreślane. Jakieś wybryki wojskowych, nadużycia urzędników państwowych, napiętnowanie szowinistów narodowych bez względu na jaką narodowość, w myśl zasad internacjonalizmu partii robotniczych.

wybryki kleru katolickiego, nigdy nie spotkałem się z krytyką w gazetach partyjnych o księżach ewangelickiego wyznania. Czytałem te gazety bardzo często, ukradkiem czytane, bo podczas posyłek z paczkami handlowymi na pocztę lub też z towarem, kapeluszami, futrami do klientów w różnych częściach miasta mieszkających - do roku 1919 rozgraniczenia miasta - państwa, miasto Cieszyn tworzyło jedną całość - klienci mieszkali na całym obszarze miasta, często przemierzałem wiele kilometrów dziennie, żeby obsłużyć liczną klientelę odbiorców. Wypracowałem sobie jakiś kwadrans i dłużej, żeby móc przeczytać interesujące mnie artykuły. Później od roku 1907 poznałem redaktora "Robotnika Śląskiego, Tadeusza Regera /aptekarza z zawodu/, zaciętego socj. dem. posła do parlamentu wiedeńskiego. Redakcja i administracja Robotnika Śląskiego mieściła się w salach na I p. /poddaszu/ starej kamienicy przy ulicy Zamkowej, gdzie zarazem była czytelnia, dostępna codziennie do późnych godzin wieczorem z różnolitą prasą partyjną jak wiedeńska Arbeiter-Zeitung /Dr Adler, poseł do parlamentu wiedeńskiego, naczelny redaktor/ i wiele innych gazet partyjnych czeskich i polskich - niemieckich. Wchłaniałem treść mnie najbardziej interesującą. Czasem dzieliłem się z wiadomością z czeladnikami, ale to nie wyszło na moją korzyść. Zaciętrzewieni fanatycy - klerusi pierwszej wody - jeden z nich zniemczył Polaka, śpiewał jako solista "Ave Maria" i inne pieśni religijne w kościele parafialnym, śpiew śpiewem, nabożność - nabożnością swoją drogą, ale fanatyzm religijny to krańcowość abstrakcyjna. Toteż sypały się takie epitety: Du verfluchter Sozi, ich werde dir das austreiben - i czasem dostało mi się różgą po barkach, rzekomo za jakieś inne przewinienia, w rzeczywistości była to zemsta za czytanie prasy socjalistycznej. Z całym zaparciem kontynuowałem w dalszym ciągu moje wizyty w redakcji, czytałem w 1908 - 1909 wypożyczoną od brata Jana "Myśl Niepodległa" /Niemojewskiego/, od Lazara Jerzego niemiecki "Der Freidenker" i inne wolnomyślnie dzieła niemieckie. W tych latach poznałem studenta gimnazjum w Cieszynie Jana Zawadę, pochodzącego

z Zagłębia, którego wydalono z gimnazjum za propagandę idei ateizmu po ukończeniu piątej klasy. Był uczniem zdolnym, choć w opóźnionym wieku /12 lat/ wstąpił do gimnazjum; wydalono go z zastrzeżeniem, że żadna szkoła państwowa średnia na terenie Austrii nie może go przyjąć. Takie zastrzeżenie zapisano w świadectwie szkolnym wypisowym. Zrazu pracował w Redakcji u boku redaktora Głosu Ludu Śląskiego i pisma satyrycznego "Osa" za marne wynagrodzenie, po jakimś upływie czasu wyjechał do Francji do Paryża, gdzie wstąpił do nauki rzemiosła stolarza, prywatnego majstra, wieczorem zaś zaocznie uczył się dalej. Nauka u majstra stolarskiego trwała dwa lata, egzamin dojrzałości szkoły średniej po trzech latach mozolnej nauki. W roku 1913 wrócił z Francji, objął pracę w związkach zawodowych i PPS w Bielsku-Białej. Co się później działo, jaki los go spotkał podczas wojny w 1914-1918 nie wiem. Był zdolnym uczniem, tłumaczył mi urywki drukowane w dziele naukowym, wydanie "nur für Gebildete" teksty oryginalne z prawa kościelnego /urywki w języku łacińskim dotyczące celibatu klery rzymsko-katolickiego i pewne przepisy dotyczące spowiedzi usznej, rodzaj pytań zadawanych spowiadającym się wiernym obojga płci, podchwytliwe i krepujące spowiadającego pytania, zadane przez kapłanów spowiedników itd./. Jako współpracownik pisma satyrycznego układał udane wiersze polityczne. Przed wyjazdem zachęcał mnie do emigracji do państwa więcej postępowego, o większej wolności aniżeli w zacofanej, pod pantoflej Rzymem będącej monarchii i dynastii Habsburgów - władców Austro-Węgier. Nie mogłem z mojej strony wyjechać w nowy - szeroki świat - firma kuśnierska przyznała mi tak doskonałe warunki pracy i płacy, roczny dochód 3.000 koron austr., przeszło sześćset dolarów w złocie - to była płaca dygnitarska - z drugiej strony żyjąc od dzieciństwa osierocony, samotny, szukałem i poznałem towarzyszkę życiową, z którą los mnie złączył do zgonnie. Umarła sparaliżowana po czterdziestu latach spożycia małżeńskiego. Zrazu moja rodzina miała uprzedzenie z powodu żeniaczki z katoliczką, nie zważając na

podszepcy krewnych, ożeniłem się i żyłem w szczęśliwie układającym się małżeństwie. Brat Jan, który był najbardziej przeciwny moim zamiarom krótko przed ślubem oświadczył mi, że jest zachwycony moją narzeczoną - byliśmy wspólnie w Ustroniu kilka razy, byli na weselu bracia i bratowe. Brat Jan często odwiedzał nas w Cieszynie, często przyjeżdżał do Cieszyna pracując w hucie Trzyniec, mieszkał w Dolnej Lesznej - polubił ją całym sercem. W okresie okupacji bywaliśmy w Ustroniu dosyć często, brat Jan odwiedzał nas również w pewnych odstępach czasu, słuchaliśmy w ukryciu radia - audycji BBC i innych, nieraz do późnej nocy. Brat Jan nocował od czasu do czasu u nas, przywoził wartościowe książki ze swej biblioteki celem przechowywania ich - z obawy przed konfiskatą ewentualną władz hitlerowskich. Piechotą do Trzyńca nosił w tobołku co wartościowsze dzieła, później koleją przyjeżdżał do Cieszyna, by potajemnie bocznymi drogami i ulicami przemycić kilkanaście cennych dzieł do przechowania. W moim domu była jakaś dyskretna komora około 1 m³ mieszcząca na podstryszu, żelaznymi drzwiczkami zamknięta. Wejście do schowka było dyskretnie zamaskowane, dużą szafą zasłonięte, że w razie czegoś, jakiejś rewizji nie tak łatwo byłoby tą skrytkę odkryć. Sam czułem się o tyle bezpieczny, ponieważ pracowałem po skierowaniu protekcyjnym pewnego wpływowego Niemca, ale uczciwego, który mieszkał w pobliżu mojego domu przy ulicy Powstańców - posiadał swoją willę po Czeskiej stronie, miał cegielnię zakupioną od byłego właściciela Kametza, architekta w Czeskim Cieszynie. Jako byłego urzędnika celnego w Polskiej Administracji Celnej na granicy i przy Urzędzie Celnym w Cieszynie, otrzymałem na podstawie listu - pisma polecającego skierowanie do Urzędu Celnego Niemieckiego, pracując samodzielnie na odpowiedzialnym stanowisku. Znając doskonale język niemiecki, szybko wprawiłem się w tryb urzędowania według przepisów celnych Rzeszy Niemieckiej. W służbie byłem mocno narażony na niebezpieczeństwo zdemaskowania mnie wskutek zbyt tolerancyjnego traktowania Polaków, otrzymujących

W niniejszej autobiografii nie mam zamiaru utrzymania chronologicznie wydarzeń czy też ważniejszych przeżyć.

Na przestrzeni siedemdziesięciu i trzech lat życia, od chwili zapamiętania pewnych przygód, zjawisk przyrody, otoczenia, pomimo wieku dziecięcego, widzę wyraźnie n.p. w roku 1895 rozebraną drewnianą chatę, sterzący goły komin z nalepą - zimny chłód wiosennego wiatru wiejącego prosto z Czantorii, Rozbiórka domu zaczęła się w kwietniu, zburzono połowę chaty zmurszałej, połowa chaty była jeszcze w zdrowym stanie i przetrwała bodajże do roku 1923 - czyli jeszcze około 30 lat - i mogła jeszcze służyć dziesiątki lat. Tylko silna wola właścicieli Jana i Anny z Szczepańskich postanowiła zgodnie z duchem postępu i czasu naszą ojcowiznę przekształcić, drewniane zabudowania zburzyć i zastąpić je budową trwałą z cegieł i betonu. Część zabudowań gospodarczych, jak chlew dla krów i jakieś pomieszczenie do przechowywania płodów rolnych była zbudowana z kamienia wapiennego, bądź też z piaskowca. Reszta zabudowań, jak czteroizbowa chata, podpiwniczona, wraz z przybudówką, stodołą, została zburzona. Prawie na tym samym gruncie powstał domek murowany sześciobozowy z werandą, frontem do majestatycznej Czantorii w sąsiedztwie wzniesienia "Jelnicy". Domek otoczony ze wszystkich stron zielenią, wzorowo zaplanowanym sadem, którego drzewa rodzą doborowe owoce w licznych odmianach. W sąsiedztwie sadu płynie bystrym strumieniem potok górski, wypływający z pobliskiej Małej Czantorii. Woda w potoku kryształicznie czysta, płynąca przeważnie w cieniu o bujnych koronach liściastych drzew, jak olch, jasieni, jaworów, akacji, topoli i innych, nawet i wierzb płaczących. Często spotyka się krzaki jeżyn i malin. Gdziekolwiek ogołoczone przez obcięcie konarów i gałęzi drzewa przepuszczają nieco promieni słonecznych, które odbijając się w czystej wodzie odtwarzają prawdziwą barwę wszelkich odcieni gamę, barw jak w tęczy występują po odbiciu się promieni słonecznych o kropki deszczu, kiedy zjawi się na nieboskłonie w pogodny dzień nagle jakaś

paczki podarunkowe z zagranicy. Do tych uprzywilejowanych odbiorców Polaków patriotów wyliczę tylko kilku, a mianowicie dr Olszak z Karwiny, prokurator Zuberek, żona córki dr Olszaka - Zuberkowa, ks. Jan Stonawski, dr Bruk z Ustronia, ks. Nikodem, ks. Michejda, inspektor - kurator wojewódzki Jan Cienciala, kilka żon oficerów internowanych na Węgrzech, którzy przysyłali paczki z różnego rodzaju towarami dla ich rodzin. Byli i księża katoliccy Polacy, którzy z Gubernii Generalnej otrzymywali paczki. Znajomi ze Szwajcarii, Węgier, Francji, Anglii przysyłali paczki o różnej zawartości. Otóż ryzykowałem wiele fałszując, podrabiając deklaracje - ankiety celne, aby bez cła wydać towary nadchodzące dla naszych ludzi. Osobiście odnosiłem bezinteresownie towary przysłane dla znajomych mi osób, o których wiedziałem, że zapłacenie przypadającego cła za przesyłki nadwyręży ich szczupły budżet, np. żony internowanych oficerów polskich na Węgrzech, obarczonych rodziną - drobnymi dziećmi. Wykorzystałem zaufanie jakim darzył mnie naczelnik Urzędu Celnego, który często podpisywał zezwolenia na wydanie paczek, nie wiedząc co w tych paczkach się znajdowało. Ani razu nie robił superrewizji, czasem zapytał, czy dany odbiorca paczek posiada "Volksliste". Bezcelnie i pewnym głosem potwierdzałem: Jawohl, Herr Zollrat - uwierzył - on miał swoje biuro na I piętrze, biuro celne odpraw celnych na parterze. Tak się złożyło, że żona pana naczelnika korzystała często z mojej grzeczności, dostarczałem jej na prośbę często mięso, kiełbasę, masło, jakie po znajomości otrzymywałem w dowolnej ilości u sąsiada rzeźnika, który zabijał, prowadził ubój nielegalny potajemnie, zaś sklep na kartki żywnościowe prowadził wzorowo, klientom dobrze znanym, zaufanym sprzedawał na lewo prawie przez cały okres okupacji bez wpadu. Dziś po latach mogę śmiało o tym mówić, pisać - wtedy zaś koncentrak, obóz, więzienie, stryczek czy strzał w politykę. Odprawy towarów sprowadzanych hurtownie z zagranicy, z Włoch,

Jugosławii, Francji itd. dokonywałem prawidłowo, obliczając przypadające cło od wagonów owoców południowych wszelkiego rodzaju, win francuskich, włoskich, odzieży - bielizny z Protektoratu Czech. Codziennie wyjeżdżałem na 2 - 3 godziny do Huty Trzynieckich, gdzie do odprawy celnej zgłaszano setki wagonów rudy przychodzącej z Republik Związku Radzieckiego, obszarów okupowanych z Kijowa, Krywoj Rogu, Zagłębia Doneckiego i z całego olbrzymiego obszaru ziem nadwożańskich Dniepru itd. W tym przypadku obliczano cło i opłaty jako kredytowane dla dostaw wojskowych - jak również olbrzymie transporty benzyny i ropy, smarów różnych przychodzących aż do wybuchu wojny z Związkiem Kraju Rad. Dostawy wyrobów alkoholowych z Gubernii sprowadzanych dla władz państwowych aprowizacji wojska były również zwolnione przy hurtownych dostawach od opłat skarbowych, tylko indywidualne przesyłki prywatne podlegały pełnym dosyć wysokim opłatom celno-skarbowym. Owoce południowe, winogrona bułgarskie, włoskie, pomidory, ziemniaki wczesne z Włoch, orzechy z Jugosławii, Grecji, w ogóle z krajów bałkańskich, oliwa jadalna, rodzynki, figi były pod względem celnym uprzywilejowane. Mięso zakupione w Polsce przed rokiem 1939 - wołowe i wieprzowe, zamrożone, sprowadzano z Reichu w czasie wojny i sprzedawano na Fleischkarty, mięso to było oznaczone pieczętkami polskimi przy wywozie w latach 1936 - 1939. Niemcy planując wojnę, zakupili różne towary, magazynując je aż do czasu wybuchu wojny światowej na wielką skalę. Goering krzychał: lieber Kanonen als Butter - a on sam jak wieprz wyżarty - brzuchacz wypasły. W uznaniu mojej pożytecznej działalności często wspominali księża zainteresowani, ks. Stonawski, Nikodem, Michejda i inni wobec brata prawdziwą postawę swego ziomka, zdecydowanego na wszystko w danej sytuacji. Ksiądz Jan Stonawski przychodząc do Urzędu Celnego po odbiór nadesłanych z zagranicy milcząc w swej skromności ukłonił się w biurze - kiedy byłem sam na sam bez świadków - kilka słów otuchy w przyszłość zostało przychylnie przyjęte. Zaś wdowa po ś.p. dr Olszaku z Karwiny, matka żony prokuratora Zuberka, przychodząc po wielkie ilości przesyłek z zagranicy -

zawsze stosowałem ulgową taryfę wobec ziomków, taryfę bezpłatną - z pewnym narażeniem się na ewentualne konsekwencje jak koncentrak, więzienie - ryzyko ryzykiem - odważny w karty gra - kiedy Pani doktorka Olszakowa przyszła do biura odpraw celnych, do mnie, a nie spotkała innych interesentów może politycznie niepewnych oraz kierownika oddziału odpraw celnych paczkowych, znając doskonale język niemiecki, z ironią rzuciła pozdrowienie zamiast Heil Hitler, brzmiące podobnie lecz w innym sensie wypowiedziane - wtedy głośno sam na sam z panią Olszak padło z jej strony pełne drwin pozdrowienie: "Heul Hitler", czyli wyj Hitlerze, równając go z psią naturą, chociaż i to powiedzonko mogłoby obrazić wierne człowiekowi zwierzę jakim jest pies.

W konkluzji moich wywodów mogę ze spokojem stwierdzić, że spełniłem mój obowiązek z godnością i honorem Polaka na posterunku pracy zawodowej ku dobru licznej grupy ziomków naszych. Z pełnym wyrozumieniem załatwiałem sprawy służbowe bez różnicy w stosunku do innych narodowości, religii - jak Żydów, którzy w bojaźni zalegali w okresie okupacji poczekalnie urzędów. Naczelnik Niem. Urzędu Celnego był człowiekiem wyrozumiałym, który podległym urzędnikom zwracał ostre uwagi za niestosowne się zachowanie wobec interesentów - Żydów. Powiedział wyraźnie i dobitnie: My w Urzędzie Celnym nie uprawiamy polityki, wszyscy interesenci bez względu na religię, narodowość są równi w traktowaniu ich. Dla mnie było to jasne i mogłem tolerancyjnie podchodzić do załatwienia, wtedy jeszcze w roku 1940 - 1942 licznych interesentów wyznania mojżeszowego bez obawy stosując taryfę ulgową wobec synów Dawidowych, oznaczonych tą gwiazdą. W jednym z sąsiednich domów przy ulicy Przepilińskiego byli internowani Żydzi w piwnicznych pomieszczeniach, znajome Żydówki, w innym pomieszczeniu mężczyźni, kupcy, rzemieślnicy, skazani na suchy prowiant. Znałem te rodziny osobiście, mieszkali w mieście - centrum Cieszyna, toteż starałem się im nieco ulżyć, dostarczając prowiantów jarzyn, fasoli, grochu, marchwi. Ale niedługo trwała ta sielanka, bo wywieziono ich

na miejsce gagiłady do Oświęcimia, skąd mało kto powrócił.

W uzupełnieniu wspomnień z wczesnej młodości, dwunastego roku życia, pragnę uzupełnić lukę powstałą. Matka nasza umarła 8 maja 1897, ojciec 21.II.1901; ożenił się po śmierci matki - było troje nieletnich dzieci, pięćhektarowe gospodarstwo, ojciec pracował w hucie kilkanaście godzin na dobę, były tygodniowe wysoki pilnych dostaw, więc po feierancie trzeba było pracować. Nieraz nosiłem ojeu trochę stawy ciepłej wieczorem. Brat Jan zawarł w Stowarzyszeniu Młodzieży Ewangelickiej w Ustroniu znajomość z Zuzanna Lipowczanówną o cztery lata młodszą od siebie, mam wrażenie, że kochał ją bardzo, kilkakrotnie nosiłem Zuzance książki oraz liściki do Równi, gdzie ojciec, sam hutnik, posiadał małą chatkę i kawałek pola z ogrodem. Jako najstarszy wiekiem musiał przejąć gospodarstwo po rodzicach, spłacić rodzeństwo, macochę z trojga dziećmi urodzonymi w latach 1898 do 1901 - jeden brat, 2 siostry pasierby z posagu żony Anny z Szczepańskich na Zawodziu, której rodzice byli zamożnymi gospodarzami, wypłacił po uzgodnieniu pretensji macochy kwotę 1.000 koron austr., to jest równowartość wówczas dziesięciu pięknych krów. Gospodarstwo - spuścizna po rodzicach było nieco obciążone i pół chaty zbudowane od nowa w latach 1895 - 1896 - dachy nad resztą zabudowań, a na utrzymaniu łącznie 12 ludzi, koszty pogrzebów w 1897 i 1901 roku obciążały hipotekę. Bratowa wniosła posag ponad 4.000 koron wraz z inwentarzem żywym - krowy - łącznie 1.000 dolarów w złocie. Zarobki w hucie były w tych latach kryzysu gospodarczego ogólnego w kraju, szczególnie kryzys w hucie, trzy dni zatrudnienia w tygodniu, to był trudny początek. Bratowa Anna przyjaźniła się z Zuzanną Lipowczan, wspólnie spotykali się w brzezynie koło Źródła Żelaznego jak to kiedyś w zwyczaju. Zdaje mi się, że wskutek zawiedzionej miłości poświęciła się opiece chorych jako diakonisa w Szpitalu Ewangelickim w Bielsku, skąd przeniosła się do Wiednia już jako rutynowana dyplomowana pielęgniarka. W roku 1921 miałem sposobność

przy odprawie celnej na granicy w Cieszynie spotkać ją po wielu latach /20/ siostrę Zuzanne Lipowczan, która przybyła na spędzenie urlopu w miejscu rodzinnym. Widocznie brat Jan korespondował z byłą mu ulubioną towarzyszką młodości, odwiedziła rodzinę na Gojach.

Na gospodarstwie pracowaliśmy wspólnie we troje - brat, bratowa i ja 12-letni malec. Latem wstawaliśmy o godzinie 3⁰⁰ rano, by obrobić kartofle, buraki, później aż do jesieni, żniwa, emłoty, przeważnie cepami, później ręcznie napędzaną młocarką - trzy do cztery osoby przy korbie, razem osiem ludzi do obsługi młocarni ręcznej, dopiero od roku 1909 napędem silnika "Diesla" ropą młócono, by wreszcie od roku 1944 po zelektryfikowaniu wykorzystać energię elektryczną. Praca w polu wymagała nie lada wysiłku do jej uprawiania - gleba ślin - ciężka do obróbki ręcznej motyką. Zboża mielone były na prymitywnych żarnach - przez wiele lat na takim agregacie pracowałem, by zemiać nieraz wilgotne zboże na chleb, czy pszenicę na razówkę, zaś owies i jęczmień na paszę dla bydła. Nieraz sobie popłakałem przy młeciu zboża, bo praca ta trwała w nocy - do północy ... a siły wzięły w moim wieku. Tak bywało na wsi wszędzie i z tym należało się pogodzić. Kryzys w hucie, ograniczone zarobki, na przednówku brak ziaren na chleb, brak pszenicy na razówkę, na kluski, nieraz zerwałem trochę czereśni, sprzedałem za grosze, aby zakupić jeden kilogram mąki pszennej na placek na drożdżach, czasem zaś zadowoliliśmy się plackiem z ziemniaków na płycie pieca kuchennego wypiekany. Dzisiaj mieszkańcy nie znają takiego ograniczenia, tej biedy z czasów kapitalistycznych, a nieraz słyszymy, że niektórzy ludzie twierdzą jakie to złote czasy, dosytu były wówczas. Skrupulatnie zarejestrowałem sobie w pamięci one czasy 15-godzinne czasu pracy, bez urlopu, bez prawa do renty czy zasiłku chorobowego.

Z jednej strony walka z klerem, który w imię możnych tego świata bałamucił prostaczków, z drugiej nacisk - udreka kapitalistów tych najbiedniejszych. - "Nadejdzie kiedyś dzień zapłaty - sędziami

wtenczas będziemy my" - brzmi refren pieśni rewolucyjnej proletariatu. W Austrii wraz z dynastią Habsburgów i szlachtą panoszyli się rzymski katolicyzm, wszechwładny kler, we Wrocławiu po dyktatorsku rządził się Polakożerca kardynał dr Kopp, diecezja wrocławska obejmowała swym zasięgiem obszary Śląska Cieszyńskiego - ten purpurowy księżę kościoła trzymał podwładny mu kler w karchach, pomimo to znaleźli się księża patriotyci, którzy wyłamali się z kościelnej dyscypliny, za niepodporządkowanie się władzy prusko-kościelnej zdjęto ich z urzędu - byli to trybuni ludu ks.ks. Londzin Józef, Stojalowski z Bielska-Białej. Ks. Londzin, syn Ziemi Cieszyńskiej i wielki patriota, wybrany posłem do parlamentu w Wiedniu w latach 1907 - 1912, po przewrocie w październiku 1918 piastował godność członka Rady Narodowej, tymczasowego Rządu Rzeczypospolitej Polski, przez kilka lat piastował urząd burmistrza Miasta Cieszyna, zmarł na cukrzycę na posterunku, pogrzeb jego był wielką manifestacją. Jeżeli chodziło o front narodowy współpracowali zgodnie socjal-demokraci, narodowcy - koalicja Michejda - Londzin - Reger i inni ku pożytkowi spraw polskich na Śląsku Cieszyńskim. Ś.p. brat Jan potrafił pomimo radykalnych innych przekonań pogodzić współpracę z obozem socj.dem - obozem narodowym, kiedy zaszła potrzeba w połączeniu się z grupą działaczy będących przedstawicielami kleru katolickiego. Brat Jan pisał paszkwile polityczne do "Gwiazdki Cieszyńskiej" p.t. Jura i Jonak - satyra szkalująca, napiętnująca poczynania hakaty niemieckiej, która zaczęła się panoszyć na Ziemi Cieszyńskiej - częste demonstracje w Cieszynie, w Bielsku-Białej itp. prowokacje. Księdza-posła Londzina na czele pochodu w Cieszynie obrzucono jajami śmierdzącymi, byłem świadkiem tego chuligańskiego wybryku rozwydrzonej młodzieży szowinistycznie nastawionej. W pochodzie znajdował się również poseł Junga, agronom z Żukowa i wielu innych znanych patriotów polskich. Pod ochroną policji miejskiej i żandarmerii obrzucono z bastionu "Deutsches Haus" z okien domu przy ulicy Głębokiej nr 15. Dochodziło na ulicach Cieszyna do bójek,

silne kordony żandarmerii i wojska nawet odgradzały przeciwników politycznych, żeby nie dopuścić do przelewu krwi. Zacięta walka trwała kilka lat, od roku 1905 do 1910. Przytoczę jeszcze jeden epizod walczącego kleru rzymsko-katolickiego. W gimnazjum niemieckim w Cieszynie w latach do 1912 był profesorem znany naukowiec Sigmund, biolog, napisał kilka dzieł naukowych wydanych w Lipsku. Po wschodzie słońca napotkałem go w parku, na łąkach Jana Stonawskiego w Błogociach, gdzie często rowerem lubiłem obcować z przyrodą. Schylony nad roślinami, kwiatkami obserwował życie tych roślin - słuchał jak trawa rośnie. Był zdecydowanym zwolennikiem nauki - teorii Darwina, zagadnięty przeze mnie objaśnił mi zawiłe tajemnice przyrody. Mieszkał przy ulicy Błogockiej, gdzie miał własną skromną willę. Był lubiany przez młodzież gimnazjalną, tylko wykroczenie jakiego się dopuścił, a co mu władze szkolne zarzucały, że co prefekt ks. prof. Babuszek ugruntował i zbudował na przestrzeni wielu lat w gimnazjum na nauce religii, on, naturalista biolog - wolnomyśliciel potrafił w kilku godzinnych wykładach zniweczyć. Kler był silniejszy w monarchii austro-węgierskiej. Został wydalony z uczelni i w ogóle. Pracował aż do wybuchu wojny 1.8.1914 w swoim gabinecie naukowym.

Moje wywody dobiegają do końca. Powracam do wczesnej młodości jeszcze. Bratowa - żona Jana zastępowała mi czułą na wszystko matkę - radą i czynem. Przygotowała mnie do konfirmacji w roku 1904 - brat Jan był na ćwiczeniach wojskowych w Krakowie. Wyposażyła mnie w nowe ubranie, bieliznę, obuwie i z nią załatwiłem formalności religijne z tym aktem związane, jak przeprosiny i podziękowanie za wychowanie. Z żalem wielkim pożegnałem mi drogą bratową dnia 6.VIII.1907 na licznym pogrzebie.

W domu rodzicielskim wychowany religijnie, nadal gorliwie czytałem Pismo Święte - Nowy Testament, modliłem się szczerze. W mieście, już w czasie nauki, byłem skrępowany u rodziny fanatycznie katolickiej, nie miano zrozumienia dla prostaczka - każdą niedzielę i święto byłem

czynny do godziny 12 w sklepie, bo taki był porządek rzeczy, i nie mogłem uczestniczyć w nabożeństwie kościelnym. Tylko jeden raz w roku, w Wielki Piątek szef firmy Baibok wezwał mnie do siebie /był ciężko chory na cukrzycę, umarł w roku 1909 w 59 roku życia/, w zasadzie bardzo dobry, i odezwał się do mnie: "Synku, masz wielkie święto, zwalniam cię, idź do kościoła, do spowiedzi i będziesz w porządku". Nie mogąc uczestniczyć w nabożeństwach kościelnych, korzystałem w popołudnia niedzielne ze spotkań sekty religijnej "Społeczność Chrześcijańska", gdzie przemawiali często misjonarze z Niemiec, przemówienia tłumaczył Jan Cymorek, Tyrlik i inni. Śpiewano z "Harfy Syjońskiej" piękne pieśni religijne przy akompaniamencie fisharmonii itp. Na większą skalę odbywały się podobne nabożeństwa w Domu Narodowym - w wielkiej sali - później na ulicy obok sądu "Mariengasse" nabyła ze składek własny dom modlitwy. Na takich nabożeństwach ks. Karol Kulisz, zwolennik tego ruchu religijnego, wygłaszał kazania.

Korzystając ze sposobności uczęszczałem na zgromadzenia P.P.Soc. Dem. z okazji jakichś zjazdów, na których przemawiał poseł do parlamentu wiedeńskiego, tow. Ignacy Daszyński, słynny, wybitny mówca, który w ramach grupy opozycyjnej przemawiał demonstracyjnie w parlamencie, jak wynikało z komunikatów prasy przemawiał - z małymi przerwami na posiłek z rządu całą dobę - posiedzenia trwały całą noc, przemawiał aż trzydzieści godzin z rządu. Wygórowane wnioski - projekty ministra wojny Austrii na dozbrojenie armii - wojna bałkańska wisiała na włosku w roku 1911 - 1912 - aż nareszcie 1.8.1914 wybuchła I wielka wojna światowa. Opozycja głosowała przeciw uchwaleniu wygórowanego budżetu na cele militarne. Koło Polskie - posłowie ze szlachty poddańczo jak pieski wierne - skomlały koło tronu - cesarza Habsburgów, ci dygnitarze piastowali wysokie urzędy w monarchii. Hrabia Korytowski był prezydentem Rady Ministrów, Biliński i inni Polacy dzierżyli stale tekę ministra finansów, hrabia Potocki był namiestnikiem Galicji we Lwowie, coś w 1912 roku zamordowany został

przez Ukraińców, których polski rząd w okresie międzywojennym też bardzo uciskał, co spowodowało ponownie mordy polityczne i niepokoje.

Sympatyzując z postępowym ruchem, uczestnicząc i obcując w tych środowiskach, zetknąłem się z ruchem socjalistycznym przeniesionym na Śląsk Cieszyński z dwu stron, z Krakowa i w zabarwieniu czeskim z Morawskiej Ostrawy /poseł soc. dem. Cingr/. W Bielsku poseł soc. dem. niem. Arbeiter, redaktor Volksstimme. Słuchanie mówców socjalistycznych, rozczytywanie się w ich literaturze polskiej i niemieckiej, częściowo i czeskiej, wpłynęło - pomimo mojego jeszcze wieku - liczyłem 20 - 23 lat - na zradyzalizowanie moich przekonań społecznych i mocno naruszyło moje wierzenia religijne, jaki stan trwa nie zachwiany niczym do dnia dzisiejszego - wieku sędziwego. Tą drogą, pod wpływem częstych rozmów z bratem Janem na te tematy, który mi udostępnił lekturę wolnomyslną, poznałem nawet osobiście w Ustroniu na Gojach Jana Hempla, z którym spotkałem się kilka razy, zaś literatura A. Niemojewskiego, Radlińskiego i innych jeszcze polskich autorów i też niemieckich, utrwaliły moje poglądy, co w konsekwencji w latach przymusowego pobytu w Niemczech od września 1918 do ^{stycznia 1919} ~~lipca 1923~~ wskutek leczenia nadwerżonego zdrowia w służbie wojenno-wojskowej pierwszej wojny światowej: W Frankfurcie n.M. spotkałem się nawet z radykalnym ruchem lewicowym /Unabhängige Sozialistische Partei Deutschland/ i zwolennikami "Spartakusa". W tym okresie krystalizowały się moje poglądy, przekonania i utrwaliły na całe życie i nic już tego stanu zmienić nie potrafi. -

W okresie miesięcy zimowych lat 1919 - 1920 uczęszczałem na kursy wieczorne, organizowane przez niemiecką Partei Soc. Dem. w Cieszynie. Uczęszczałem na wykłady "Hochschulkurse" zwanych, nauk przyrodniczych, chemii, fizyki i matematyki. Profesorowie niemieckiej szkoły realnej /Realschule/ - ojciec w wieku emerytalnym, syn w średnim, obaj naukowcy - byli za Austrii autorami kilku podręczników dla szkół średnich z dziedziny nauk ścisłych, kursy były pożyteczne, na

wysokim poziomie, zależnie od poziomu i przygotowania słuchaczy dobrowolnych, łaknących wiedzy, ludzie różnych zawodów i w różnym wieku.

Obecnie po II wojnie światowej po roku 1945 Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, PZPK organizowała identyczne kursy z różnych dziedzin nauk, wykłady odbywały się na poszczególnych zakładach, prelegentami byli profesorowie z różnych uczelni, nauczyciele, lekarze, prawnicy, sędziowie, technicy. Spędziłem kilka miesięcy na kursach różnego typu, politycznych, związkowych, partyjnych w Łodzi, Poznaniu, Kielecach, Cieplicach. Wykłady na kursach były na wysokim poziomie. W Łodzi wykładali naukowcy, profesorowie wyższych uczelni /dr Jan Szczepański, dr Grabski i wiele innych asów nauki - instytutu socjologicznego przy uniwersytecie łódzkim, jak prof. dr Piekielec, dr Kąkol oraz nestor dr Kotarbiński, jeden z najlepszych naukowców i wiele jeszcze innych/. W Cieszynie o wyglądzie patriarchy z siwą brodą dr Rosenfeld, senior /fizyk/, syn jun. dr Rosenfeld przyrodnik - po roku 1925 w związku z zamknięciem szkół niemieckich, przesiedlili się do Wiednia. Na marginesie nadmieniam, że po ukończeniu różnych kursów, zakończonych egzaminami z wynikiem dla mnie dodatnim, władze partyjne przydzieliły mi zadania partyjne, ~~w~~ ^Wkladałem w zakładach przemysłowych cieszyńskich, szkoliłem po linii związkowej z dziedziny bezpieczeństwa i higieny pracy, prowadziłem wykłady nawet w szkole średniej "Budowlance" dla nauczycieli szkół zasadniczych, ~~ściągniętych~~ ^{ściągniętych}, oddelegowanych ze szkół zasadniczych z Ustronia, Wisły, Skoczewa - oraz z kilku szkół cieszyńskich. Przez kilka lat pracowałem społecznie w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Uległem wypadkowi przy pracy - spadłem z dachu 8 m wysokości - kilka złamań - obojczyka, przedramienia z kontuzją kolan, nawet stawów dłoni - musiałem zrezygnować z obowiązków nałożonych mi przez Partię PZPR oraz innej pracy społecznej, które to sprawy wymagały wiele poświęcenia i czasu wolnego. W tej chwili piastuję jeszcze godność wiceprezesa Zjednoczonego Związku Emerytów, Inwalidów i Rencistów przy Powiatowym i Miejskim

burzowa chmura, która niebawem znika, wywołuje barwną tęczę. Obserwując czasem rzadkie zjawiska przyrody, kiedy w zupełnej ciszy stoimy w bezruchu spokojnie nad potokiem, zobaczymy rój drobnych rybek, czasem nieco większych /do 25 cm długości/ pływających w bystrym nurcie raźnie płynącego strumyka, pstrązków - pstrągów, najszlachetniejszej ryby naszych górskich potoków i rzek. Piękna jest ziemia cieszyńska, przecudne nasze ustronie - Ustrón, sześciotysięczne obecnie miasto. Znany pisarz śląski Gustaw Morcinek w swej broszurze p. t. "Jan Wantuła" napisał o tej ziemi następująco, cytując: "Ludowa powiastka twierdzi, że gdy Pan Bóg stwarzał świat, postanowił stworzyć także Śląsk Cieszyński, inaczej zwany beskidzki. I wtedy nie powiedział ani słówka, tylko się uśmiechnął. I z tego boskiego uśmiechu powstała ta przedziwna ziemia".

Niejeden codzoziemiec, turysta zwiedzający urocze zakątki gór beskidzkich zawsze jest urzeczony ich pięknem, urodą. Pewien cudzoziemiec, który zwiedził wiele krajów, będąc w Biśle, Istebnej itd., oświadczył wszem i wobec, że piękny krajobraz obserwowany przy dobrej widzialności ze szczytu Kubalonki jest niezrównanie wspaniały - przy widokach wysokiego masywu Tatr. Wspaniałością krajobrazu widok ten dorównuje jedynie widokom pod względem piękna - górom skalnym Szwajcarii. Taka ocena "globtretera" musi budzić dumę każdego z nas, zrodzonych na tej przepięknej ziemi cieszyńskiej beskidzkiej ...

Szczególnie piękna pora roku, jesień w Beskidach, górach i lasach, ma specyficzny, niepowtarzalny urok. W czasie ładnej pogody ze szczytu szczytów Beskidu widać panoramę Tatr - Ochodzity - symbol Koniakowa, Jaworzynki, najwyższej położonej wioski na Śląsku. W Istebnej rosną jedyne, jako unikat, nieboszczytne świerki 50 metrów, okazy niespotykane w Europie podziwiane przez znawców z krajów europejskich. Ze szczytu góry Baraniej bierze początek królowa rzek polskich Wisła. Dwa oddzielne ramiona, Biała i Czarna Wisłoka, źródła zrazu mało widoczne, trzęsawiska mchem pokryte. Już w dolinie łączy się trzecie

Zarządzie, przewodniczącym Grupy Terenowej przy Komitecie Miejskim PZPR, przewodniczącym Koła Rencistów w Fabryce Mebli, pracuję zawodowo przy wyuczonym fachu-rzemiośle - kuśnierskim i - -

Ostatni raz jeszcze wrócę do lat wczesnej młodości, lat po śmierci rodziców /1897 matka, 1901 ojciec/.

Na przestrzeni mojego dosyć długiego życia obcowałem najwięcej z najstarszym bratem Janem - bardzo zbliżone upodobania i myśli łączyły nas i prawie nie było między nami spraw spornych, które by nas dzieliły, przeciwnie w najlepszej komitywie i przyjaźni, zgodzie braterskiej przez całe życie łączyły. W jednym z listów po roku 1950 brat utyskuje, że jest opanowany jakąś tęsknotą, wygląda często, czy bliski mu brat Paweł nie przyjedzie na odwiedzinę na Goje, na próżno nieraz wyglądał, ja zaś często zapracowany nie miałem dosyć czasu na odwiedzinę. Pisał, że serce mu dokucza, astma sercowa, bóle kulszowe itp. dolegliwości wieku podeszłego, objawy chorobowe na jakie skazani jesteśmy wszyscy w wieku sędziwym, cierpień, miazdżycy i innych schorzeń ... Trzy dni przed śmiercią brata Jana byliśmy wspólnie z moją towarzyszką życiową Anną, którą brat darzył wielką sympatią, w pokoju jego biblioteki wysoko usłanej, dusznica sercowa mu bardzo dokuczała. Przy łożu - wzywany kilkakrotnie do łoża - tak jakby w przeczuciu - przewidzeniu, że to ostatnie już odwiedzinę za życia - za trzy dni we środę wyzionął ducha w fotelu na werandzie - prawie na oczach ukochanej wnuczki o niebieskich oczach, blondynki Urszulki. Pogrzeb jego był wielką manifestacją przy udziale księży ewangelickich oraz proboszcza rzymsko-katolickiego. Dwóch rektorów uniwersytetów, syn, biskup ks. dr Andrzej Wantuła oraz bratanek, dr Jan Szczepański z Uniwersytetu Łódzkiego, wnosili własnoręcznie trumnę z zwłokami drogiego ich ojca i wuja - mojego brata ukochanego o 13 lat ode mnie starszego. Ks. Bocek przed domem żegnał zmarłego, powiedział między innymi pięknie i trafnie, że śmierć jego była podobna do śmierci jabłunki, która zżamała się pod ciężarem dojrzałych

owoców. Ks. Gerwin w płomiennym kazaniu w kościele podkreślił owocną walkę o lepszą przyszłość i sprawiedliwość społeczną proletariatu gniebionego i wyzyskiwanego przez bezlitosny kapitał...

Dnia 6 sierpnia 1967 odprowadziliśmy na wieczny spoczynek bratową Hanke, która w dzieciństwie przez trzy lata zastępowała matkę. Z bratową łączyła mnie całożyciowa serdeczna przyjaźń i również dokładnie trzy dni przed śmiercią, w tradycyjną rocznicę "na Jakuba", ostatni raz rozmówiliśmy się poważnie - skupiła ostatnie jeszcze siły, by w pozycji siedzącej jeszcze ze dwie godziny się rozmówić, po czym znów zasłabła po południu. Pogrzeb przy udziale też co najmniej 30 księży ewangelickich i 6 rzymskokatolickich. Ostatni raz widziałem ks. Gerwina, który również miał pogrzeb dnia 25.VIII.1967 - umarł w 58 roku życia. Pogrzeb odbył się przy olbrzymim udziale wiernych z bliska i z dala współwyznawców jak i uczestników rzymsko-katol. wyznania. Kazanie żałobne w kościele wygłosił bratanek ks. bp Andrzej. W kazaniu podkreślił zasługi i poświęcenie proboszcza ś.p.Gerwina, z którym łączyła go serdeczna przyjaźń od przeszło 30 lat. Ś.p. ks. Gerwin należał do najbardziej postępowych księży w dzisiejszej rzeczywistości, sytuacji politycznej, ustroju o odmiennym charakterze, ścierających się systemów na globie ziemskim. Za wcześnie, niespodziewanie odszedł od nas, osierocając stary zbór cieszyński. Oby godny następca ś.p.ks. Gerwina okazał się godnym reprezentowania kościoła o wielkiej tradycji i zasłużonego w swej świętej historii, w ofiarnej walce podczas prześladowań religijnych w okresie minionych stuleci, dyktatorów fanatycznych kleru rzymskiego. Napisane przez ks. Karola Michejdę, pastora ewang. zboru krakowskiego p.t. "Dzieje Kościoła Ewangelickiego w Księstwie Cieszyńskim", wydane w Cieszynie z okazji 200 setnej rocznicy kościoła z łaski danego na mocy ugody altransztadzkiej /1709 - 1781 - Karola XII, króla saskiego/. Kiedykolwiek wojażowałem po kraju czy wybrzeżu morskim, Gdańsku, Kołobrzegu, Ustki, Słupska, Szczecina, Bydgoszczy, Torunia aż po Karpaty, na

Ziemiach Zachodnich Odzyskanych - Jeleniej Góry, Bierutowic, Cieplic, Świeradowie, Wrocław, Kudowa, Polanica i wiele innych miejscowości, w wiele innych miejscowościach nie wymienionych, jak Lublinie, w okolicach za Bugiem, gdzie losy wojny mnie przerzuciły, wszędzie moje zainteresowanie wzbudzało oglądnięcie starych cmentarzy, kościołów zabytkowych, cerkwi /bożnice żydowskie były przez faszystów spalone/, na Bałkanach meczety - minarety. Na nagrobkach odczytywałem historię takiego czy innego skrawka danego kraju. Na zachodzie zwiedzałem zdewastowane stare, niegdyś okazałe i zabytkowe świątynie /np. w Jeleniej Górze/, które po wojnie II światowej uległy zniszczeniu częściowo przez fanatycznych chuliganów innowierców - jak wybite doszczętnie szyby, wyszabrowane części niegdyś organ kościelnych, zdewastowane ołtarze, bramy ozdobne zabite obecnie deskami. Zaledwie kilka kościołów - kościółków, jak w Cieplicach Śl., świątynia w Bierutowicach "Wang", Wałbrzychu, Świdnicy, Wrocławia, Zielonej Górze. Częściowo jeździłem - podróżowałem służbowo, czasem bawiłem na kuracji w sanatoriach i wczasach wypoczynkowych w wielu miejscowości kuracyjnych jak w Busku, woj.kieleckie, Zakopanem i na Ziemiach Odzyskanych.

Na ostatniej karcie pamiętnika mego wspomnę jeszcze o mało znanych fragmentach z życia naszej wczesnej młodości. W domu naszym rodzicielskim oprócz żmudnej pracy na małym gospodarstwie, na roli, ogrodzie było w wieczory zimowe, długie popołudnie niedzielne, jako na nasze skromne warunki nawet gwaro. Przy hucie ustrońskiej przed rokiem 1900 założono z inicjatywy technika Wł. Kamińskiego towarzystwo śpiewacze "Lutnia" - chór męski i kapela. Dyrygentem i kapelmistrzem /pamiętam/ był Czech rodem z Opawy /były tambor major wojska austriackiego/ wybitny muzyk - Zatloukal - pracownik w hucie. Wyszkoliło się ponad 20 hutników młodszych, zgrani mogli się chwalić udanymi występami publicznymi. Brat Jan grał na trudnym instrumencie solowym, "waltornia" Flageole /rodzaj piszczałki - klarnetu/, dosyć dobrze opanował grę harmonii dwurzędówki. Brat Józef grał możliwie dobrze

na skrzypcach i harmonii dwurzędowej /grywał na weselach, na szkubaczkach, zabawach domowych okazjonalnych/. Brat Józef zakupił stary prawie niezdatny instrument bez strun, bez smyczka od wędrujących po wsi cyganów. Instrument naprawiony przez lirnika, zdolnego mistrza budowy instrumentów muzycznych, Jerzego Krywałskiego w Cieszynie, służył do rodzinnych koncertów, urządzanych przez grupę zapaleńców, bo znalazło się jeszcze kilku skrzypków, jakaś trąbka skrzydlówka, flet, karłowate "piccolo", cytra styryjska /uzdolnionym muzykiem był samouk Paweł Ferfecki - uniwersalny muzyk kilku instrumentów powyżej wymienionych.../. W izbie na Gojach było wtedy ciasno - to latem grano przed domem, wiele młodych i starszych słuchało z czasem po wyszkoleniu już pięknie brzmiącej muzyki. Uczono wiele pieśni narodowych przy pomocy śpiewników z nutami. Sielanka trwała niestety niedługo - po śmierci rodziców bracia się ożenili, w roku 1902 Jan i Józef, liczne obowiązki rodzinne, praca w hucie, na roli, praca społeczna, związkowa, polityczna - zabierały wiele czasu. Ten mały wycinek z tych lat 1899 - 1903 podałem pisarzowi G. Morcinkowi na piśmie, zaciekał się i zainteresował i przyrzekł mi, że przy okazji wplecie i ten fragment w swoje następne wydanie lub nowele czy opowiadania, jakie umieścił w swoim planie. Niestety przedwcześnie zmarł uzdolniony pisarz ludowy - robotniczo - górniczy, piewca folkloru Śląska Cieszyńskiego. Zmarł dnia 21.XII.1965. Od wielu lat spotykałem się ze ś.p. G. Morcinkiem w Cieszynie, czasem z okazji odwiedzin na Gojach u brata Jana, na pogrzebie ś.p. jego ukochanej siostry Tereski, nawet raz w Skoczowie w domku przy ulicy Ustrońskiej gdzie mieszkał i pracował.

Na tym kończę mój pamiętniczek na prędko, zupełnie z pamięci, bez żadnych notatek sporządzony.

Paweł Wantuła.

W Cieszynie, dnia 13 września 1967.

Dar dla Biblioteki Synodalnej
Kościoła Ewang.-Augsb. w PRL
z księgozbioru
Jana i Andrzeja Wantułów
z Ustronia

A. Hlamierka - 1, 22
 Jan Kuliga - 1
 K. Prochaska - 2, 6
 P. Marciniak - 4, 61
 Jan Kumpel - 26, 56
 Jan Michajda - 18-20, 22
 W. Urban - 24
 T. Reger - 45
 A. Niemojewski - 45, 56
 Jan Zawada - 45, 46
 K. Londzin - 53
 Jpn. Danyński - 55
 Cingor - 56
 Jan Szepaniak - 57, 58

Ks. Lewin : 7, 59
 Ks. Pastuszyn : 7
 M. Andryszak : 8, 9, 58-59
 Ks. Jan Janik : 28
 Ks. K. Koberg : 20
 F. Braibok : 28
 Albert Frykora : 27-32
 Ks. Jan Stenawski : 35, 48, 49
 Ks. K. Kuliga : 55
 J. Cymorek : 55
 Ks. P. Jurek : 58
 Zuzanna Lipowczan : 51-52
 Urszula trantula : 58
 Karol trantula : 44 i m.

MALINA
 Instytut
 CIESZYŃ
 Włocławek, Brno 2

Jan trantula : 7-9, 15, 20, 21, 23-26, 29, 30, 37, 38, 45, 47, 51-54, 58-61.
 Rodzeństwo : 23, 25-26



ramię rzeczki "Malinki". Biała Wisielka perlistymi kaskadami wodospadów napromienionych słońcem - w przeciwieństwie do Czarnej Wisielki - która spływa w cieniu drzew nieco leniwiej od jej siostry Białej Wisielki. Z południowego stoku Baraniej Góry wypływa rzeka Olza, która wpływa koło wioski Olzy do Odry, tuż przy Boguminie /Oderberg, miasto graniczne CSR i Polski/. W Wiśle-Malinie znajduje się wylęgarnia pstrągów, jak również w połączonych strumykach Białej i Czarnej Wisielki w pobliżu stoku Kubalonki. Dzika ongiś rzeka Wisła, szczególnie w czasie powodzi, występowała z płaskich brzegów, czyniąc spustoszenie, zrywając mosty i kładki, zamulając sąsiednie pola. W latach okresu międzywojennego od 1925 - 1938 ujarzmiono na kilkudziesięciu kilometrach rzekę Wisłę wraz z dopływami potoków górskich ujętych w karby wałów kamiennych, opasanych siatką drucianą umocowanych na głęboko wbitych palach, ujarzmiono w jej żywiole poprzez liczne progi spadowe, poprzez Ustronń po Skoczów. Zbudowano kolej żelazną do Wisły-Głębce; drogi solidnie zbudowane, wyłożone brukiem z granitu szwedzkiego /za węgiel górnośląski/. Sprężysty w czynie i energiczny gospodarz, wódarz Górnego i Cieszyńskiego Śląska, wojewoda dr Michał Grażyński /zmarły na emigracji w Londynie w r. 1966/, położył niemałe zasługi przy zagospodarowaniu Śląska. Do r. 1924 droga z Wisły do Ustronia - Skoczowa - Strumienia i inne drogi były w opłakanym stanie. Górale wozili jednokonką okrągłaki w zimie na saniach, w porze letniej zaś na prymitywnych wozach. Zwózka obejmowała drzewo okrągłe z lasów arcyksiążęcych Fryderyka Habsburga /wieszatela/ oraz z lasów prywatnych na tartak parowy do Ustronia /firma żydowska Loewy/, obecnie nowoczesny tartak elektryczny upaństwowiony. Droga do Wisły była wyboista, falista, chyba walec drogowy parowy nigdy nie dotknął tej drogi. W porze zimowej okrągłaki wyłobiły głębokie rowy w nawierzchni z tłuczni wapiennego. Najbliższa stacja kolejowa znajdowała się w odległym o kilkanaście kilometrów Ustroniu. Z Istebnej do najbliższej stacji kolejowej

w Jabłonkowie piechotą wynosił czas pokonania takiej odległości 4-6 godzin. Droga na przełęcz Kubalonki /760 m n.p.m./ była od strony Wisły wyboista i bardzo stroma. W latach 1930 zbudowano drogę okrężną serpentynami. Spalony zameczek myśliwski /1926?/ pod Kubalonką zastąpiono trwałą budowlą z kamienia. Słynne tu były polowania na głuszcze. W polowaniach tych brały udział osobistości z domu cesarskiego, niemiecki cesarz Wilhelm II, po latach 1919-1921 prezydent R.P. Ignacy Mościcki, prezes Rady Ministrów Rzeszy Niemieckiej Goering wraz ze świtą. W latach okupacji mieszkał w zamku sam Fuehrer A. Hitler wraz z nazistami. W czasie pożaru zabudowań zamczku myśliwskiego ocalał jedynie kościółek z drzewa modrzewia. Wisła stała się obecnie ^{całkowicie} znaną, atrakcyjnym uzdrowiskiem, ośrodkiem turystycznym. W dniu dożynek, jako zakończenie tygodnia kultury podbeskidzia, w dniu 25.VIII. w/g relacji prasy, gościła ponad 60.000 uczestników. Rekordowa to liczba jako miejscowości podgórskiej. Na przełomie wieku 19-ego stan ~~xx~~ motoryzacji był w powijkach. zaś drogi publiczne, zwane szosami, były trudne do komunikacji konnej. Pierwsze dwa samochody ciężarowe - ciągniki starego typu, z dwoma lub trzema małymi przyczepami, na żelaznych rafach poruszały się z chyżością nie więcej jak 20 km/godz. Komora cieszyńska, to jest browar, posiadał dwa garnitury takich pojazdów od roku 1907, które w roku 1909 zniknęły - stan fatalny dróg nie sprzyjał eksploatacji po wertepach i wybojach. Na terenie Cieszyna około roku 1911/12 pojawiły się zaledwie trzy samochody, jak na owe czasy pięknie zbudowane limuzyny marki Mercedes-Benz. Pierwszym posiadaczem Mercedesa był ob. Górniak, właściciel cegielni w Śibicy, drugim I. Ph. Glesinger, wielki bogacz, właściciel lasów w Słowacji - Węgry i tartaków, trzeci Maurycy Fasal, znany fabrykant wódek na Saskiej Kępie. Atrakcją był autobus na 10 osób firmy Prochaska, który przewoził z lasu Grabiny, oddalonego o 2 km, za cenę 40 halerzy, czyli wartość 1/2 kg cukru w on czas. Dopiero w r. 1912 ob. Wałga

zaprowadził w starym wehikule zakupionym w Wiedniu kursy na krótszą metę. Mechanik, Kotucz, w r. 1913 posiadał limuzynę sześćoosobową, mały mikrobus - przewoził pary małżeńskie do ślubu. W maju 1914 sam osobiście korzystałem z tego luksusu - coś 4 km 10 koron austr., czyli 2 dolary.

Dnia 25 sierpnia 1967.

Pod wrażeniem wielkiej manifestacji żałobnej - pogrzebu ś.p. ks. Artura Gerwina zmarłego niespodzianie po krótkich, ciężkich cierpieniach w poniedziałek, dnia 21 sierpnia 1967.

Mimowolnie opuściłem dwie stronicę, kreśląc moje stare wspomnienia, obecnie wykorzystuję te dwie puste stronicę, przerywając tok opisu, który już do stronicy 39 w międzyczasie urósł.

Z ś.p. ks. Gerwinem miałem sposobność spotkać się bądź to w kościele, lub w czasie pogrzebu na cmentarzu ewang., czasem i na komunalnym. W czasie pobytu mojego w Szpitalu Śląskim w roku 1959 - w okresie operacji prostaty, ś.p. ks. Gerwin odwiedził mnie w poranek niedzielny, kiedy dowiedział się od jego córki, lekarza-chirurga, pracującego na pawilonie III, która w czasie dwukrotnej operacji mojej była obecna przy stole operacyjnym. Serdeczna rozmowa była wynikiem odwiedzin. Poruszaliśmy nawet temat kazania wygłoszonego na pogrzebie ś.p. brata Jana w roku 1953. Pożegnalne kazanie na pogrzebie ś.p. Gerwina nad grobem wygłosił ks. rektor Akademii Teologicznej ks. dr Woldemar Gastpary, który w bardzo serdecznych słowach żegnał zmarłego, zasłużonego działacza kościelnego, społecznego itd. Między innymi powiedział, że będąc w obozach koncentracyjnych tęsknił za wolnością i chęcią przeżycia kaźni hitlerowskiej; życzenie więźniów i jego się spełniło, lecz wymarzona wolność, za którą tak bardzo tęsknili, nie była tą wolnością. Dla mnie to powiedzenie jest nieco zagadkowe, ponieważ rząd R.P. jest w stosunku do Kościoła Ewang. Augsb., Kościołów postępowych, nadzwyczaj tolerancyjny.